Kostiuchnówka

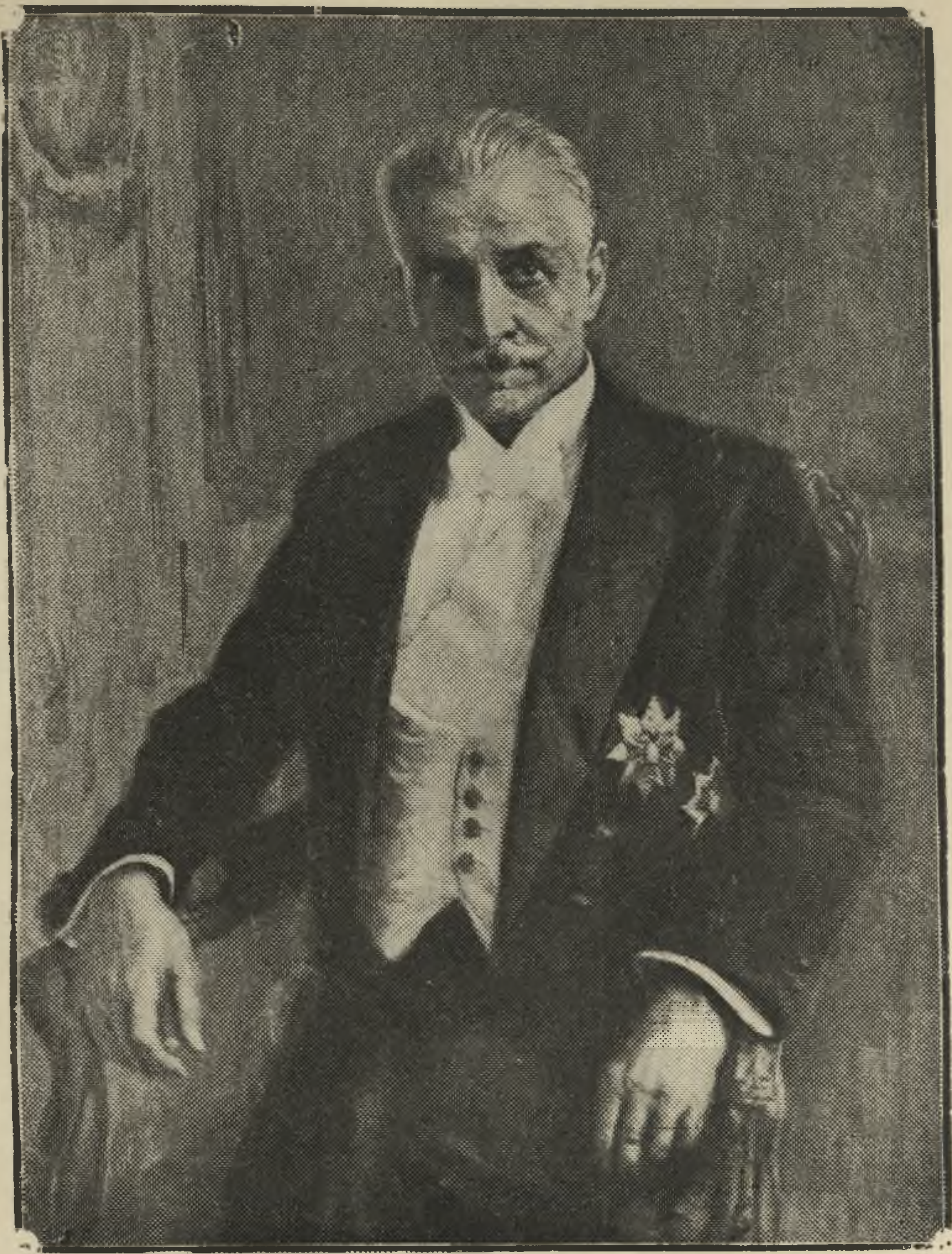


NAKŁADEM
„PRZEGLĄDU WOŁYŃSKIEGO"
POD REDAKCJĄ
TADEUSZA ZAGÓRSKIEGO
ŁUCK
1928

KOSTIUCHNÓWKA

POLSKA GÓRA

NAKŁADEM
„PRZEGLĄDU WOŁYŃSKIEGO"
1928.



Legjony pod przewodnictwem
swego ukochanego Wodza zdo-
były niepodległość — ta prawda
wyniknie niezbicie ze studjów
historycznych nad odrodzeniem
Państwa Polskiego.

I. Mościcki

CIENIOM POLEGŁYCH

w kornym hołdzie

TWÓRCY LEGJONÓW

NARODU WODZOWI

JÓZEFOWI PIŁSUDSKIEMU

W CZCI POSŁUSZNEJ WYRAZIE

BOHATEROM i OFIARNIKOM

którzy krew swoją

na Kostiuchnówki wzgórzach

Przeleli lub przelać byli gotowi

ŚMIERĆ PRZEKŁADAJĄC NAD NIEWOLĘ

w dniu 15-go lipca 1928 roku

KIEDY SPOŁECZNOŚĆ WOŁYNIA

ku uświetnieniu ich chwały

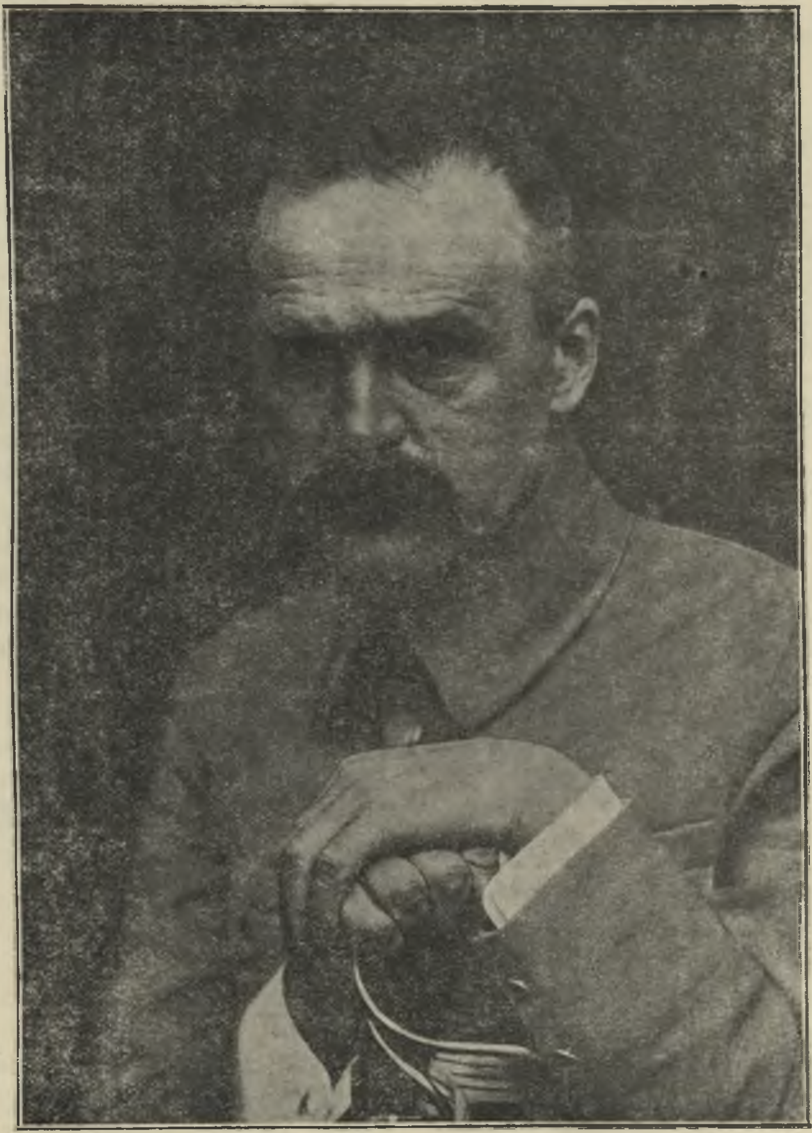
kopiec sypać poczęła

świadectwo dając

ROZROSTOWI i MOCY RZECZYPOSPOLITEJ

ta skromną wspomnień garstkę składa

REDAKCJA.



PIERWSZY MARSZAŁEK POLSKI JÓZEF PIŁSUDSKI.

Z ROZKAZÓW KOMENDANTA.

I.

25 października 1915 r.
Las pod Kostiuchnówką.

Żołnierze!

Ostatnie dni przyniosły nam, żołnierzom polskim, wielką chwałę. Odnieśliśmy zwycięstwo nad przemożnym wrogiem, walcząc w najcięższych warunkach. Żołnierz, przemęczony wielodniową dzienną i nocną pracą na rozciągłym froncie, wyniszczony nużącemi patrolami w lasach i błotach, nie tylko dał opór liczebnie przeważającemu nieprzyjacielowi, ale wyszedł za nim po całonocnej walce, by w pościgu za uchodzącym zadać mu dalsze ciosy, przerazić i zdemoralizować nagłym i nieoczekiwanym napadem.

Ostatnim bojem raz jeszcze, żołnierze, przekonaliście wszystkich, czem jest żołnierz polski. Rad jestem, mogąc to dzięki naszej pracy stwierdzić w licznych pochwałach, podziękowaniach i pochlebnych wzmiankach, jakie otrzymałem z powodu ciężkich dni, jakieśmy przebyli. Dzięki Wam wszystkim, w imieniu Sprawy, dla której walczymy.

Przedewszystkiem zaś mym najbliższym pomocnikom: Pułkownikowi Roji i majorowi Berbeckiemu, których zawsze widziałem w pracy, utrzymujących obronę pozycji, przygotowujących napad. Majorowi Wyrwie-Furgalskiemu i kapitanowi Bończy-Uzdowskiemu wyrażam wysokie uznanie za dzielne i energiczne prowadzenie przez pierwszego — kontrataku, przez drugiego wywiadu za cofającym się nieprzyjacielem.

Korzystam tu ze sposobności by wyrazić podziękowanie oficerom I-go batalionu II pułku, specjalnie zaś kapitanowi Sławowi-Zwierzyńskiemu za świetny czyn odbioru armat i karabinów maszynowych pod S. dnia 1 października 1915 r., czyn, który powszechny zyskał poklask.

Rozkaz ten przeczytać w kompaniach, szwadronach i instytucjach podwładnego mi oddziału.

(—) J. Piłsudski.

II.

11 lipca 1916 pod C.

Żołnierze!

Najcięższe z dotychczasowych naszych bojów przebyliśmy w dniach ostatnich. Ogień artylerji, z nieznaną nam dotąd potęgą szalejący na naszych okopach, masowe ataki nieprzyjaciela, przebijanie się bagnetem przez piechotę wroga, masowe również szarże kawalerji rosyjskiej, — wreszcie odwrót w nadzwyczajnie ciężkich warunkach — oto cośmy przeszli w ciągu kilku dni.

Pomimo krwawych i ciężkich ofiar, któreśmy złożyli, cofnęliśmy się z każdorazowej pozycji jedynie wtedy, gdyśmy byli prawie otoczeni; schodziliśmy zawsze ostatni z pola, przeciwstawiając wszędzie na naszym froncie nowy opór przemocy.

Dumny jestem z zachowania się I Brygady w tych bojach pod K...., chcę zaś wierzyć, że każdy z nas, jak to prawemu żołnierzowi przystoi, wyniósł z tych dni dużo doświadczenia i nauki, gdy tyle dla siebie nowych rzeczy widział, w tylu nowych formach wojny brał udział. W kilka dni takiego boju rekrut staje się starym wiarusem, który ma co wspominać i czego uczyć drugich. Najcięższe działanie bojowe spadło tym razem na pułk drugi mojej Brygady, pułk „zuchowatych“ Berbeckiego. Pułk stracił swego dowódcę, ciężko rannego, obu komendantów batalionów zabitych i rannych, — więcej niż połowa oficerów i prawie połowa żołnierzy spłaciło krwią serdeczną dług Ojczyźnie i sławie wojska — i pomimo to pułk, zmniejszony w składzie, wyszedł wyczerpany fizycznie—ale moralnie.

Boje pułku Berbeckiego i IV batalionu kapitana Kukiela w dniach 4, 5, 6 lipca, jeżeli pozostaną w mojej pamięci smutnemi z powodu ciężkich i bolesnych strat najlepszych kolegów broni, zaliczone jednak być muszą do najsławniejszych, jakie brygada przeżyła. Dzięki oficerom i żołnierzom za dzielną pracę i hart ducha!

Najboleśniejszą naszą stratą jest zabity major Wyrwa Furgalski, który stale sławy nam przysparzał, tylu żołnierzy wychował, a tylu upadających moralnie swym humorem i tężyzną podtrzymywał. Był jednym z najlepszych naszych oficerów.

Cześć Jego pamięci!

Najsławniejszymi czynami w tych dniach są kontratak: 8 kompanji pułku Berbeckiego na „Polską Górę“ i odparcie przez bataliony majora Fleszera (specjalnie VI batalion kap. Kukiela) masowej szarży kawalerji rosyjskiej. Pierwszy, prowadzony wieczorem 4 lipca przez ppor. Myszkowskiego, z nadzwyczajną brawurą i efektem uratował od zagłady pułk. Berbeckiego, a przez odebranie „Polskiej Góry“, zdobytej przez wroga na naszych sąsiadach, z prawej strony cofnął o cały dzień odejście ostateczne z pozycji K. W., co uratowało oddziały na południe od nas. Drugi—6 lipca przeprowadzony przez V i specjalnie VI batalion pod dowództwem majora Fleszera, zatrzymał nieprzyjaciela w chwili nadzwyczajnie krytycznej, gdy wszystko naokół się cofało, a na nasz front rzucano masy kawalerji.

Odparcie tych ataków i wyrzucenie z przedpola wdzierającej się na nasze pozycje z lewa piechoty, dozwoliło spokojnie odejść całej brygadzie, nieledwie w półtora godziny po rozpoczęciu odwrotu przez inne oddziały. Nieprzyjaciel długo nie ośmielił się potem nas ścigać. Znakomicie do tego przyczynił się major Brzoza, kierując do ostatka ogniem baterji prawie w samej linji tyralierskiej.

Dzięki oficerom i żołnierzom pułku Berbeckiego i obu batalionom majora Fleszera za dzielną pracę i bohaterstwo w tych walkach.

(—) Józef Piłsudski.



J. E. Ks. BISKUP BANDURSKI.



J. E. Ks. BISKUP BANDURSKI W OKOPACH.

KAZANIE LEGJONOWE BISKUPA BANDURSKIEGO.

Ksiądz Biskup Bandurski przybył w Wigilję Bożego Narodzenia 1915 roku na front Wołyński, aby przełamać się opłatkiem z pełniącemi tu wartę legjonami i na Duchu je pokrzepić. Po mszy pasterskiej wygłosił przepiękne kazanie, które poniżej przytaczamy w brzmieniu dosłownem.

„A byli pasterze w tejże krainie czuwający i strzegący nocne straże".

Wśród nocnej ciszy obchodzi świat cały chrześcijański święto Narodzin Bożego Dzieciątka, a myśl wiernych unosi się ku onej krainie, kędy „pasterzom czuwającym i strzegącym nocne straże" objawiona została największa tajemnica odrodzenia ludzkości, podstawowa prawda całego Chrystyjanizmu, tajemnica wcielenia Przedwiecznego Słowa.

Słowo, co ciałem się stało, przyniosło spragnionemu człowiekowi pokój i hasła najszlachetniejsze wszechludzkiej miłości, sprawiedliwości i wolności.

I ilekroć ludzkość odstąpiła od zasad Chrystusowej Ewangelji, tylekroć miast miłości — n i e n a w i ś ć, miast sprawiedliwości — g w a ł t, miast wolności t y r a n j a, miasto pokoju—srogie panowały wojny.

Na tle powszechnego bezprawia powstała straszna zawierucha obecna, która przewala się po przez całą Europę, i porywa za sobą narody, stawające wrogo przeciw sobie.

W tym roku Wielkiej Wojny przypadł mi niemały zaszczyt odprawienia Mszy pasterskiej w obozie polskiego żołnierstwa, które jak ongiś biblijni pasterze na czujnych stoi czatach i czeka wieści weselnej o Narodzinach Tego, co dźwignął ludy ku słońcu.

I nic dziwnego, że gdy świat cały w ogniu, gdy Polska w zgliszczach, gdy z popiołów ma się wyłonić świat nowy odrodzony, że w zawody z innymi stanął polski żołnierz, walczący o swe prawa, że musiał powstać nowy typ rycerza polskiego, co zapragnął zrzucić jarzmo odwiecznego wroga.

Do Was rycerze odradzającej się Polski, do Was, coście najwyższą narodu chlubą, pośpieszyłem z niewypowiedzianą serca radością, by z Wami święta przepędzić, by tu u Was w obozie polowym ducha skrzepić, i Swoim z powrotem nowinę zawieść, że nieugięcie stoicie na placówkach kresowych i krwią ofiarną zakreślacie granice polskiej posiadłości.

Jestem dumny, że w tej uroczystej chwili mogę być z Wami i razem zanosić modły do Pana Zastępów. W tej chwili na olbrzymim obszarze ziem, gdziekolwiek płoną ogniska jasnego Chrystjanizmu, odprawia się Msza pasterska, celebrowana przez biskupów we wspaniałych katedrach, skąpanych w potoku świateł.

Może mi jednak każdy z biskupów pozazdrościć mojej dzisiejszej katedry i mego tłumu wiernych. Odprawiam bowiem Mszę świętą w najwspanialszej obecnie w Polsce katedrze, rękami polskich żołnierzy wzniesionej, postawionej trudem i znojem wojennym polskiego żołnierza, zroszonej krwią serdeczną bojowników o wolność narodów a tak olbrzymiej i przestronnej, jak olbrzymie serce i duch prawego i szlachetnego Polaka, zrzucającego kajdany stuletniej niewoli... Odprawiam wzniosłą Bożego Narodzenia pamiątkę pod czystem i jasnem niebios sklepieniem, wśród wysokich kolumn wspaniałego lasu, wśród czworoboku rycerstwa polskiego, wśród kadzideł bijących pod niebios stropy od ognisk polowych, przy których grzejecie trudem bojowym spracowane ciała, przy odgłosie zdala grających armatnich organów, co zdają się wtórować cichej, a pokój niosącej polskiej kolędzie.....

O! Jak tu miło i błogo wśród Was, Najmilsi w narodzie! Jedni, którzyście bez mędrkowania powiedzieli: — D z i ś l u b n i g d y ! i na szalę wypadków rzucili czyn tak głośny, że sprawa polska w Europie donośną się stała i do sprawiedliwego dojrzała załatwienia.

Wśród nocnej ciszy niewoli, Wy jedni na czatach! Gdy śpią rodacy i bracia Wasi snem gnuśności, zwątpienia i zniechęcenia, Wy jedni wytrwale straż trzymacie, czekając chwili, w której objawi się ono umiłowanie Wasze, wypiastowane we snach młodzieńczych, odczuwane przez gorące Wasze serca, dłonią Waszą rycerską dziś wykuwane. Wy jedni straż trzymacie nad ideą ukochaną—nad promieniem wolności, zrodzonym w krwawym Waszym trudzie i męce, wśród armat dymu i rozjęku.

I dlatego wśród Was tak błogo i miło! Gdybyż Polska cała mogła z blizka patrzeć na czyny Wasze i trudy, przekonałaby się, jak dzielne ma dzieci i Syny, poznałaby, że ż y j e i ż y c i e s w e z a w d z i ę c z a W a s z e j p o s t a w i e, W a s z e m u ż y c i u, W a s z e j o f i e r z e! W s z a k t a m P o l s k a ż y w a, g d z i e W y, g d z i e W a s z a k r e w s e r d e c z n a g o r ą c e g o d o w o d z i ż y c i a!

To też klękając przed Bożą Dzieciną, Konradowemi słowy wnoszę błagalną modlitwę:

Byś wiódł z wędrówki długiej,
Mój Naród do wszechmocy!
Byś dał, co mają inni,
Gdy przyjdziesz jako Dziecię tej nocy.

Bożego Narodzenia
ta noc jest dla nas święta,
Niech idą w zapomnienia
niewoli gnuśne pęta.

Daj nam poczucie siły
I Polskę daj nam żywą,
by słowa się spełniły
nad ziemią tą szczęśliwą!

O! niech płynie owa potężna modlitwa z każdej piersi polskiej w tej wielkiej dziejów godzinie!

Niech się już skończy wędrówka długa narodu do Ziemi obiecanej, z domu niewoli do krainy wolności!

Niech wreszcie da nam Pan, co mają inni, a czego nas bezprawiem i gwałtem pozbawiono!

Niech, jako przez Boże Narodzenie grzechu więzy zerwane zostały, tak w tę noc wiejkiej wojny i pożogi niesłychanej, w tę noc ostatnią krwawych porachunków, pójdą raz na zawsze w zapomnienie niewoli gnuśne pęta!

Panie!

Garstce wiernych rycerzy, co w Legionach pod znakiem Orła Białego walczą, dałeś poczucie siły!

Takież poczucie siły daj tysiącom naszych na wszystkich obszarach dawnej Rzeczypospolitej! Niech się poczują jedną, wielką, nierozdzielną rodziną, olbrzymią armią, zdolną do obrony Wiary i Wolności!

A wtedy Polska cała okaże się żywą

Taką Polską żywą daj nam o Panie! Daj by słowa się spełniły, nad Ziemią tą szczęśliwą!

Szczęśliwa ziemia przez Ciebie wybrana, choć pokryta mogiłami i zgliszczami, bo wierzymy mocno, że spełni się to, coś przyrzekł wybranym Swoim, gdyś mówił.

— A Wy teraz ucisk macie....... lecz ucisk Wasz w radość się obróci.

Szczęśliwa ziemia podobna do Ziemi męczeńskiej pierwszych czasów chrześcijańskich, bo z niej jak z tamtej powstaną nowe pokolenia wyznawców, bo z niej, jak z tamtej, wyjdzie Odrodzenie.!

Nad ziemią tą szczęśliwą, dziś zniszczoną i spustoszoną, wyrzec

Twe potężne Słowo:

Stań się!

A okryje się chwałą, radością i pokojem!

Rycerze Polscy! Niechże otucha i ufność niezłomna znowu Was ożywi, byście zdolni byli na każdy dzień szary, na każdą chwilę trudu i znoju powtarzać za poetą:

Zwyciężę na tej ziemi,
Z tej ziemi Państwo wskrzeszę,
Synami my Twojemi,
Błogosław czyn i rzeszę!

Strażnikom znicza narodowego — rycerstwu polskiemu cześć!

Bóg niech błogosławi Waszym wielkim zamiarom i doda mocy Waszym mieczom!

Trwajcie i zwyciężajcie!

Jan Lechoń

POLONEZ ARTYLERYJSKI.

To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali.

— — — — — — — — — — — — — — —

Siew pada w ziemię szrapnelami,
I dym i grom i burza z nami,
Piekielny deszcz ze stali.

Na firmamencie chmury chmurzą
Brunatne z armat dymy.
Raz po raz ziemia jęknie burzą,
Ślepia się dziko armat mrużą,
Przy których my stoimy.

Od ognia czarni, dymem suci
I wiecznie czuwający.
Armaty — grom i ból i wici,
Baterja ryknie w głos, gdy chwyci
Wasz szept zmartwychwstający.

Miarowo dudni, zcicha, zcicha,
Bez przerwy, bez ustania!
Na miły Bóg!! — Czy ziemia wzdycha?

— — — — — — — — — — — — — — —

To artylerja nasza licha
Dziś puka od świtania...

To major Brzoża kartaczami w moskiewskie pułki wali.

— — — — — — — — — — — — — — —

Czy przeciw nam wy, czy też z nami?
Gadamy do was kartaczami,
Nie dusi dym i krew nie plami,
I jeno ogień pali.
Za nami będą mówić ciszą
I łzami i modlitwą.....

Armatom ognia!! Niechaj dyszą!
Hej! Ognia! Ognia! Słyszą, słyszą,
Że w bitwie idziem bitwą.
Konnicy — koniem, zbrojną ręką —
Po swoje iść piechocie...
Jaką grał Bem pod Ostrołęką
Taką nam zagrać dziś piosenką,
I w pułk moskiewski rozwinięty
Chrzest słać, piekielny chrzest i święty,
Kapłanom przy robocie.
Dudni nam ziemia, dudni, dudni,
Ratujcie się majorze!
Tako się Polska nam rozcudni,
Gdy skwarny przyjdzie czas południ
Na nasze krwawe zboże.

Słyszycie! Zcicha, zcicha, zcicha,
Warkotem, bez ustania......
Na miły Bóg!! — Czy ziemia wzdycha?
Pułk się za pułkiem w śmierć przepycha...

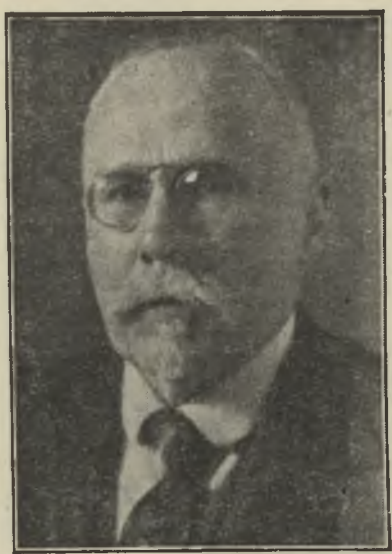
— — — — — — — — — — — — — — —

To artylerja nasza licha
Dziś puka od świtania.
Ani się pyta, kto dziś z nami,
Baterja wściekłej stali.

— — — — — — — — — — — — — — —

To major Brzoza kartaczami w moskiewskie pułki wali.

PISARZE LEGJONOWI.



WACŁAW SIEROSZEWSKI.



ANDRZEJ STRUG.

Helena Stattlerówna.

O D P R A W A.

Przyszli wszyscy, szumnym lotem sokoła.
Na wieczorną przyszli odprawę.
Wszyscy zbrojni, jak w owe noce krwawe.
Gdy burzy wicher kładł pokosem
Ich młode czoła
Oto wszyscy jednym mówią głosem:

„Na rozkaz Twój o Wodzu. szliśmy zgodnie,
„Twoi wierni, Twoi niezawodni,
„Najlepsze dzieci narodu.
„I oto dusze nasze, wyzbyte z niewoli
„Świecą nad czołem ludu w złotej aureoli,
„Mąk niepomne i syte pragnień głodu.

„Twoja to dłoń na śmierć nas przeznaczyła,
„Wybrane, najbujniejsze ziarno,
„Na siew rzucone w ziemię czarną,
„Na przyszłych plonów zbiory.
„Tyś kazał, aby krwi gorącej siła
„Wsiąkła w ugory.

„Otośmy przyszli, Wodzu, na odprawę
„Ostatni raz, nim cisi pójdziem w dal,
„Ani nam życia, ani szczęścia żal.
„Ani nam tęskne noce krwawe,
„A żeśmy padli na znak Twojej ręki,
„O, Wodzu, Tobie dzięki!

Stoją cisi, braterstwem broni zgodni,
Ci wierni, ci niewymowni,
Stoją cisi w błękitnej obłoczni —
I mówi im Komendant: „Spocznij"!

JÓZEF PIŁSUDSKI.

CZEREMOSZNO.

(15 września 1915 r.)

Ledwiem zdrzemnął, gdy mnie obudzono. Zgodnie z rozkazem wieczorem przezemnie wydanym brygada cała jest zaalarmowana. Na tak zwanym przedmościu słyszano strzały, a Opieliński przysłał ułożoną zgóry wiadomość, że ma przed sobą kozaków. Wymaszerowujemy. Gorąca herbata jest już na stole, konie rozkazano siodłać, a w całej komendzie brygady zwykły ruch ordynansów, pakujących szybko rzeczy i bagaże, by tabor brygady nie opóźniał pochodu. Dusi mnie dotąd i złość jakaś bezmierna i pusty śmiech. Po oczach oficerów sztabu widzę, że doskonale wiedzą, co się święci. Chcieliby nawet zażartować, lecz widząc mnie surowo pomarszczonego, wyciągają poważnie twarze, a śmiać się im chce, jak wesołym chłopcom, gdy płatają figla. Herbata przełknięta — odmarsz panowie!

Na dworze jeszcze ciemno. Kasztanka stoi przed gankiem już pod siodłem i niecierpliwie się kręci. Zobaczyła mnie i zwykłym ruchem wyciąga pysk po chleb, który trzymam w ręku. Na ulicach i uliczkach, w okolicy mej kwatery, słyszę zwykły przed odmarszem rejwach. Słychać już turkot wozów i armat, tupot nóg kolumn kompanijnych, wymaszerowujących na miejsce zbiórki bataljonów. Za chwilę opuścimy Kowel, który śpi jeszcze i nigdzie nie daje znaku życia.

Otwieram w dziwaczny sposób nową kartę historji naszej. Ze śmiechem pustym myślę, jak za parę godzin w szanownej K. u. K. Komando von Legionen dziko otworzą oczy na wiadomość, że cała brygada odmaszerowała w pościgu za kozakami i że zatem wychodzi z pod jednej łaskawej opieki. Lecz jazda! I za chwilę kasztanka wykręca w jakieś uliczki wązkie i brudne, z których wydostajemy się szybko za miasto. Tu już kolumna się wyciąga, dymią kuchnie, pociągają wozy taborowe, szukając swego miejsca. Śmigły melduje mi stan rzeczy. Daję rozkaz odmarszu do Czeremoszna, z zatrzymaniem w pół drogi na parę godzin dla przerwy obiadowej. Liczę, że w Czeremosznie piechota będzie gdzieś na godzinę 4-tą—5-tą.

Kozaków w drodze nie przewiduję żadnych, więc polecam nie zwracać uwagi na mnie; Śmigły trzyma dalsze rozkazy w Czeremosznie. Puszczam cugle kasztance, gdy kolumna jest już w ruchu. Klacz wyciąga nogi w stępie, wyprzedzając zwolna kompanję za kompanją. Czuję wciąż na sobie oczy żołnierzy i oficerów. Jest w nich zapytanie, marsz ten jest dla nich niespodzianką. Oficerowie salutują i udają powagę, dają poznać, że oni doskonale wiedzą o co chodzi.

Żołnierze nie udają nic, starają się z twarzy Komendanta wyczytać odpowiedź na pytania, które sobie stawiają. Witam się co chwilę rzucając od czasu do czasu żartobliwe słowo. Kasztanka nie lubi tłumu i towarzystwa. Kiwa wesoło łysym łbem, omija starannie najmniejszą kałużę, nie chcąc zabłocić pończoszek, parska jakgdyby mówiła „a j a w i e m, a j a w i e m". Nie dba o nic głupia klacz, gdy nie słyszy strzałów. Jestem już przy czołowej kompanji. Zdala, na szarej drodze, widać plecy szarej drobnej kolumny—to kompanja awangardowa spiesząca, by wziąć należyty od kolumny przedział. Gdy mijam już czoło, oficerowie salutują, a w oczach żołnierzy widzę naganę dla mego postępowania „Z n o w u K o m e n d a n t b ę d z i e m a s z e r o w a ł z a w a n g a r d ą, t a k ż e z w y c z a j e"!

Wreszcie jestem na drodze sam. Za mną kilku oficerów i grupka konnych ordynansów. Żadnych oczu nie czuję na sobie, żadnych pytań do mnie skierowanych, żadnych niedyskretnych kwestji, o tem „c o b ę d z i e ?" Bo co ja mogę wiedzieć, co właściwie będzie?

Ile razy wściekałem się na to głupie pytanie! Dziwna rzecz, jak to jest śmieszne — im człowiek jest głupszy, tem bardziej szuka pewności tam, gdzie żadny rozumny człowiek pewny nie jest. Tak i w tej kochanej Ojczyźnie, gdy się tylko zacznie rozmawiać, zawsze to samo: trzeba wiedzieć napewno, co jutro będzie, dopiero wtedy jest się rozumnym. Trzeba wiedzieć, ale to tak napewno, by to głupie pytanie rozwiązywać jak najprostsze arytmetyczne zadanie, wtedy dopiero ma się patent na rozum. A im głupszemi argumentami operuje się, tem pewniejszy jest efekt i tem pewniejszy patent. Naprzykład to wieczne żydowskie pytanie, która strona wygra? Bo by taki pytający wiedział z kim trzymać i co główna komu służyć.

Nic nie pomoże odpowiedź, że nikt na świecie z tych, co wszystkie nici mają w ręku, na to pytanie odpowiedzieć samemu sobie nie może. Nic nie pomoże! Odpowiadać musi kto? — Polak, który najmniej wie, najmniej rozumie i którego, wysługując się nim, jak bydlęciem, każdy oszukuje! To dopiero nasz rozum polityczny! W takt kroku kasztanki, która o te mądrości nie dba, a z żyda i filistra polskiego ma tylko to, że się bardzo, ale to bardzo boi strzałów, wzbiera we mnie wściekłość.

Więc znowu awantura! Kowel za mną, nie czuję nawet „z a p a c h u b a r d z o z d r o w e g o" tego miasteczka. „Śliczne miasto sobie stoi!". Pamiętam gdym kilka dni temu, przejechawszy setki kilometrów końmi z Warszawy, w Kowlu brygadę swoją znalazł. Kowel, jak zresztą cała Polska, miał nowego Pana. Zniknął „n a s z" Moskal, jest inny Pan, nieznany, obcy. Zalał miasteczko masą nowych żołnierzy, zmęczony wojną, uważający taki Kowel za jakiś raj utracony. Raj ten należy do nowego Pana—ob-



Fotografja Marszałka Józefa Piłsudskiego z czasów pobytu w Kiryńsku nad Leną w Syberji w latach 1887 — 1888.

Wydobyta została z akt więziennych w 1917 roku przez Sędzinę Masiukiewiczową.

Znajduje się obecnie w zbiorach prywatnych Mecenasa Staniewicza.

cego nieznanego żołnierza. I nieszczęsny cywil z zamętem w głowie do nowego Pana usiłuje się przystosować, coś od niego zarobić, gdzieś go trochę wyzyskać, odnaleźć jego słabe strony.

Ba! myślę ze złością, przypominając obrazki Kowelskie. Cała Polska to robi co te żydki kowelskie.

Może mniej cynicznie, może mniej otwarcie zabiega i szuka jakiegoś nowego modus vivendi. Tu w Kowlu przystosowanie idzie otwarcie. W sklepikach na ladach rozłożone niewielkie ilości tych czy innych towarów, większe składy tego towaru ukryte.

W sklepach pełno szwendających się żołnierzy. Z bezczelną twarzą obmacują wszystko — i wdzięki sklepikarki i smakołyki na ladzie. Wystraszone, lecz chytre twarze autochtonów mrugają do siebie, chcąc oszukać to na cenie, to na pieniądzach i ich wymianie. Byle handel szedł! Jakieś żołnierskie przekleństwo najbardziej cyniczne kręci mi się po głowie i dusi gardło. Tak radzi—i Polską gdzieś handlują! Więc awantura!!

Z gorzkim uśmiechem przypominam wczorajszy wieczór. Rzuciłem wściekły rozkazy na ziemię, wyrzuciłem oficera K. und K. Komando legjonowej, który mi je przyniósł. Sosnkowskiemu, o którego duszę już chytrze się targowano, nęcąc karjerą, kazałem zachorować. Odmówił mi zastąpienia mnie w dowodzeniu brygadą, kazałem mu więc wyjechać na tyły i robić jakieś głupstwa w głupiej Warszawie.

Wbrew wszystkim rozkazom kazałem, przygowawszy alarm, wymaszerować, gdzie oczy poniosą— ku nieprzyjacielowi. Będę psia wiara haratał się z kozakami sam, bez tych Kościuszków w obcych mundurach, bez tych szpiegów, udających najgorętszych patrjotów, a robiących na naszych plecach karjerę austrjacką. Kaki przeklęte, ze swemi szykanami w sosie patrjotów polskich.

Dusi mnie pasja jakaś i wściekłość i z tej wizyty mojej w Warszawie, i z widoków kowelskich, i z tych przeklętych stosunków w Legjonach, i z tego, że te malcy idący posłusznie za mną w zwartych szeregach nie chcieli zwolnić mnie od tej mordęgi. Awantura! mają więc awanturę razem ze mną. Idziemy dzisiaj w niewiadomą przyszłość, połamawszy wszystko, co jest rozkazem w wojsku, co jest służbą na wojnie. Idziemy sami ku nieprzyjacielowi, nie szukając nigdzie ani oparcia ani pomocy.

Uspakajam się nieco, gdy o tej samotnej eskapadzie myśleć zaczynam. Wczoraj studjowałem mapę, wytykając drogę dla niej. Dzisiaj nieprzyjaciela nie mam, będę go miał dopiero jutro. Za Stochodem — też zabawka nowa! — stoi 2-ga kozacka skombinowana dywizja. Tę znam — chyba pod Kowlem. Teraz zepchnięta za Stochód coś zapewne przesłania — ale co?? Tego na razie nie wiem, tajemnicę odgadnę dopiero pojutrze. Bo jutro zepchnę ku wschodowi oddziały jej z brzegu Stochodu pewno łatwo. Dalej sam Pan Bóg wie co dalej robić! Chcę się oderwać od dotychczasowych stosunków, by odejść do innych. Raz mi się już w ten sposób udało, gdym przez Ulinę wyrwał się z opieki I-go korpusu.

Trafiłem wtedy nieźle. Zdecydowałem skręcić na południe i wyjść gdzieś za Styr koło Czetwiertni. Tam kończy się Hauer ze swym korpusem i przyczepioną do niej K. u. K. Komendą Legionów. Tam wchodzę w obszar sąsiedniego korpusu jazdy, który jakoby posunął się znacznie ku wschodowi. Może tam będzie lepiej. No, a może skończy się wszystko przez ten skandal, co zrobiłem i powiedzą mi: dosyć. Tem lepiej! W każdym razie skręcę na prawo ku południowi. Lecz gdzie? Wczoraj zdecydowałem, że zrobię to dopiero po zajęciu Trojanówki, którą na kozakach zdobyć muszę. Lecz czy wtedy Moskale dadzą mi możność swe manewry czynić, czy nie skupią większych nieznanych mi sił przeciw mnie i mojej brygadzie? Spojrzałem na prawo. Gdzieś w oddali majaczy długi szereg słupów. Jest to telegraf idący obok kolei Kowel — Kijów. Jutro na tym telegrafie brzęczeć będą depesze zawiadamiajające różne oddziały w tyle za kozacką dywizją.

Zwoływać będą być może nowych nieprzyjaciół przeciwko mnie. Machnąłem ręką. Niech! Lepiej to wszystko, niż wiecznie głupie spory samego z sobą, niż te nikczemne szykany tam w Kowlu!

Jutro więc muszę rozerwać zasłonę kozacką, a pojutrze — co Pan Bóg da! Jeżeli za nimi blizko nie stoi nic, dam sobie radę, jeżeli zaś mają

gdzieś niedaleko silniejsze rezerwy, może być już pojutrze ciepło i bardzo ciepło! Uspakajam się już teraz zupełnie. W każdym marszu naprzód jest jakiś dziwny urok, który tyle razy odczuwałem, a który zapewne odczuwa każdy oficer, gdy w żyłach krew mu gorąca płynie, a nie cuchnąca ciecz tchórza.

Nęci jakaś tajemnica, która wszędzie się czai, wszędzie znaki pytania stawia. Jest ona nieledwie w każdym zdala widzianym krzaku, jakgdyby mówiła — „jestem, jestem, nie zbliżaj się rycerzu"! Jak w bajce!.

Jestem już na miejscu, wyznaczonem na przystanek obiadowy. Spojrzałem na zegarek — mamy jeszcze czasu dosyć—nie chcę męczyć ludzi. Muszą dobrze wypocząć! Jutro będzie ciężkie, a pojutrze jeszcze cięższe! Przyjdą noce niespane, będą nerwy napięte aż do zupełnego wyczerpania.

Niech nam na razie w spokojnym marszu z dłuższym wypoczynkiem nie zmarnują niepotrzebnie sił. Szeroka obszerna polana z ubogiemi łanami. Zdala widać wioskę, do której już widzę zdążające patrole. Kolumna nadciąga. Za chwilę zacznie się zabawa obiadowa. Słabsi położą się natychmiast, wyciągając nogi, silniejsi zrzucą ekwipunek i będą baraszkować.

Gdy ochota będzie większa, zagrzmi muzyka i śpiewy. Opanowuje mnie jakieś rozleniwienie. Niechcę myśleć, ani rozmawiać. Decyduję się po krótkim spoczynku jechać naprzód wprost do Czeremoszna, tak, aby jeszcze na wieczór trafić do Smolar, gdzie Berbecki przygotowuje przeprawę przez Stochód. Sprawdzę stan rzeczy, będę bliżej tajemnicy jutrzejszej.

W zupełnem już rozleniwieniu odjeżdżam od kolumny w stronę Czeremoszna, dokąd już posłano moje wozy i pojechał oficer kwaterunkowy. Nie chę myśleć o niczem, odkładam wszystko na później. Opanowuje mnie dziecinna ciekawość do nowych miejsc, do nowego, nieznanego dotąd kraju. Kasztanka zna już na pamięć zwyczaje marszowe; wie, że teraz gdzieś niedaleko czeka stajnia, obrok i odpoczynek. Przyśpiesza kroku, by prędzej stanąć u mety.

Ileż to marszów mamy już za sobą, ileż tych nowych krajobrazów! A jednak za każdym razem jakaś dziecinna wrażliwość nakazuje oczom szukać jakgdyby całkiem innych, całkiem nieznanych obrazów. Jakgdyby sosna miała za każdym marszem rosnąć inaczej, inaczej kwitnąć kwiaty. Tym razem mogło to być inaczej — wkraczaliśmy i szliśmy wgłąb obszaru Polesia i oczy szukały czegoś nowego, nieznanego. Jest dziwny czar wielkiej przyrody, gdy człowiek czaru nie zakłóca. Początek jesieni, ciepły, prawie letni dzień, niedopuszczający jeszcze myśli, że gdzieś już czai się zima. Pustkowie dokoła, z pól wojna wygnała ludzi. Gdzieniegdzie stoi dojrzały nietknięty owies, dość wysokie, prawie ogrodowe grzędy z kartoflami.

Człowieka ino dojrzeć. Przyroda łagodnie, pieszczotliwie, podmuchem łagodnego wiatru powoli koi tak niedawne wzburzone myśli. Zdaleka majaczą krzyże cmentarza. Jakie dziwne krzyże! Wysokie, z wąskiemi ramiony, strzelają ku niebu, a dwie włócznie łączą podstawę z ramionami. Niewielka figura Chrystusa ledwie widna gdzieś u góry. Pomimo, że ludność prawosławna, krzyż nie przekreślony w żadnem miejscu. Ciekawe — myślę — jakieżby to właściwości duszy ludzkiej tę inną konstrukcję krzyża wydały.

Krajobraz przypomina mi nieco mój litewski: wszędzie dokoła horyzont ograniczony ścianą boru, piaski jak u nas. A jednak jest inaczej — brak weselszych załamań i pofalowań gruntu. Płaska, melancholijna, równa przestrzeń, którą tylko las i wysokie krzyże urozmaicają.

Przyroda robi swoje. Zamiera zupełnie wewnętrzny bunt, jest w powietrzu jakaś kojąca cisza, jakaś chęć zapomnienia o burzach, bólach i walkach. „Nie było nas, był las — nie będzie nas, będzie las"— myślę i gdzieś powstają jakieś senne, urywkowe wspomnienia z dawnej, dziwnej przeszłości, z dziecinnych przygód przy konnych wycieczkach, z braterskich swarów o przymioty i wartości koni. Nie chce mi się nic, jeno pośmiać się trochę bez troski o jutro, bez myśli złośliwej o czemkolwiek. A już zdaleka widzę szeroko rozrzucone Czeremoszno. Na skraju osiedla widać duży park, świadczący o zabudowaniach dworskich, u wejścia do wsi konna postać oczekującego na moje przybycie podoficera—kwatermistrza. Za chwilę zsiadam z konia u wrót



Piłsudski w okopach na Wołyniu.

do parku. Oficer melduje mi, że cały dwór jest zniszczony, ani jednego mebla wewnątrz,

Muszę wybrać: albo stanąć we wsi, albo kazać ściągnąć trochę mebli do dworu na nocleg. Obchodzę park i zabudowania. Dziwny dwór! Niczem nie przypomina naszych polskich dworów. Jest kilka will—szaletów rozrzuconych w parku. Zręcznie wysunięte ganki, barwnie oszklone różnokolorowemi szybkami, pokoje o całkiem eleganckiej strukturze wewnętrznej; posadzki i wysokie okna Dokoła gazony i oranżerje. Lecz jakież głupie, barbarzyńskie zniszczenie! Każda najdrobniejsza szybka rozbita specjalnem uderzeniem, gazony zdeptane, oranżerje połamane, wszędzie mnóstwo kału. w pokojach ani jednego mebla, potłuczone garnki i talerze rozsypane pomiędzy kwiatami.

Jakaś mściwa ręka musiała tu pracować i szukać zemsty na wabiącej barwą szybie, na pięknym krzewie czy kwiatku. Dowiaduję się, kto tego barbarzyństwa dokonał. Majątek należy — tak mi doniesiono — do jakiegoś księcia rosyjskiego, który te zalotne szalety dla swej kochanki pobudował i tu z nią spędzał lato.

Zniszczenia dokonano przez włościan, gdy ich ewakuowano, sprawdzono zaś, że meble, a przynajmniej część ich znajduje się już w ręku żydów w miasteczku. Decyduję się stanąć we dworze, by być w tym pięknym parku, gdzie stare drzewa mówią o dawnych czasach, a krzewy i kwiaty o gniazdku miłości śpiewają. Chodzę po parku, nim kwatera się oporządzi i nim herbata się zagotuje.

Za chwilę otacza mnie wesoła, gwarna „banda" jak ją nazywam, sztabowa. Jest cała podniecona, a widzi mnie uśmiechniętego. Wypadki kowelskie są żywo omawiane z żartem i śmiechem. Wszyscy są zadowoleni — skandal w Kowlu ich podnieca, idziemy wszyscy razem na awanturę, na jakąś nową bajkę, gdyśmy już tyle bajek przeżyli. Jest zupełnie wesoło. Zaczyna się proces ze mną.

„Dosyć tego Komendancie — woła gruby doktór — my chcemy być żołnierzami! Dosyć Komendant trzymał nas w cuglach!"

„Ba, — dodaje inny — a skutek tych cnót, do których nas Komendant zmusza, jest taki, że Austrjaki nie chcą nas uważać za żołnierzy i wciąż nam kłują w oczy, że jesteśmy cywilną bandą!".

Wszyscy się zaczynają przekomarzać ze mną. Jeden przypomina moje ostre określenia z czasów przedwojennych.

„Komendant zawsze mówił, że mamy — my Polacy — nerwy słabe i sentymentalni jesteśmy, jak histeryczki, że wojny nie wytrzymamy. Tak, tak! oto słowa Komendanta, które pamiętam: Cóż chcecie! Wojna to jest gwałt i przemoc, to jest pożoga. to jest gwałcenie kobiet, i kto mówi o wojnie, musi wiedzieć, że to jest nieodłączne od wojny. A jakeśmy na wojnę poszli, to halt! Komendant wszystkim kazał być cnotliwymi. Ani na pamiątkę żadnej rzeczy nie wolno zabrać, gdy obok Węgrzy grabią do cna, zabierają wszystko.

„Ani nawet płotu nie niszcz u jakiegoś nikczemnego endeka, gdy obok meblami plecy grzeją. A bądź z każdym grzeczny! Dosyć tego rycerstwa Komendancie!"

Jeszcze jeden filozoficznie dodaje: „Tak, a pamiętacie w tym dworze w Radomskiem, gdy Litwinowicz krowy rekwirował i dziedziczka łamała ręce, że polski żołnierz holenderskiej krówki nie szanuje. Boć jeśli jesteś rycerz, to siedź o głodzie. A komendant kazał tej jędzy najchudszą krowinę wybrać dla żołnierzy".

„Cha, cha, cha, — zabrzmiał chór śmiechu — pamiętamy, pamiętamy, zaraz przyszedł potem felfebel austryjacki i na babę huknął. Zabrał jej z obory z dziesięć krów najspokojniej, to dziedziczka prawie go gdzieś z szacunku pocałowała!"

„Dosyć, Komendancie, my chcemy być żołnierzami, chcemy rabować, gwałcić. Już niech sobie Polska! Już ją mamy za plecami, niech sobie pieści się z nowym „naszym", ale tu dosyć tej cnoty!"

Opadli mnie, śmiejąc się jak duże dzieci. — Dosyć, dosyć — ryczy cały chór. Wzięła mnie ich pustota. Zmarszczyłem się i zawołałem — „Dyżurny oficer! do mnie!"

Wszedł oficer dla wysłuchania rozkazu, wyprostował się, rzucając na mnie pytającym zwrokiem.

„Poruczniku! — dobitnie rozkazałem zmarszczony — dostarczyć ma Pan i zarekwirować żydówkę, może być i stara, dać ją doktorowi, ma ją przy Panu zgwałcić. Wykonanie zameldować!.

Wybrałem dobrze. Doktór, żonkoś, który więcej się bał żony niż komendanta i wszystkich kozaków na świecie, osłupiał.

— Dlaczego ja? Komendancie! — zapytał.

— Wy tu jesteście inicjatorem, a ja napewno Pani Waszej to opowiem. Mam dosyć tych skarg. Albo — albo! mój Panie!

Śmiech był powszechny. Wszyscy obiecywali kontrolę nad doktorem. Doktór się oburzał i rzucał. Oficer ordynansowy wodził po wszystkich zdumionem okiem, stojąc dotąd wyprężony na baczność. Śmiałem się i ja.

Wpadł podoficer przynosząc meldunek Berbeckiego. Rzeczywistość wołała do porządku. Meldował mi, że wszystko do sforsowania Stochodu ma przygotowane, że boi się tylko, czy artylerja przez bród przejdzie i że może lepiej odesłać ją do Hulewicz, gdzie brody są zupełnie pewne, że wreszcie nieprzyjaciela na wschodnim brzegu jest bardzo mało, że więc przejście ranne jest zupełnie pewne.

Namyślałem się chwilę, wreszcie zdecydowałem. Nocuję w Czeremosznie, do Smolar nie pojadę: wystarczają mi te dane. Wylenię się trochę i skończę ten dzień bez troski, zostawiając kłopoty na jutro. Kłopot jednak bardzo blisko i moja złota swoboda już się skończyła.

Jak na złość, gdym już się przygotowywał do snu, szanowna K. u. K. Komando dała znać o sobie. Do Czeremoszna zjawił się oficer z zapieczętowaną kopertą, którą mi wręczył.

Pamiętam, dobrą chwilę trzymałem kopertę w ręku, nie rozpieczętowując. Dziwne — myślałem — gdybym był się nie lenił i wyjechał, jak zamierzałem, do Smolar, koperta by tu leżała, czekając na mnie, a ja bym spokojnie dalej był swobodnym.

W kopercie znalazłem depeszę od Arcyksięcia dowódcy Armji z rozkazem bym jak najprędzej przyjechał do Łucka do jego kwatery. Zaśmiałem się. Depesza musiała być skutkiem mego skandalu, którym w Kowlu zrobił. Chwilę wahałem się. Mogłem swobodnie nie śpieszyć i kilka dni ściągnąć w wyczekiwaniu, tymczasem zaś zrobić swoje — sforsować Stochód i stanąć w kontakcie z nieprzyjacielem. Dałem jednak spokój, zdecydowałem jechać zaraz. Rozumiałem, że będę miał bajkę, której chciałem. Szukałem wyjścia — mam je gotowe.

Brygada moja zostanie, jak chciałem, na froncie, jako szkoła, a ja będę mógł zerwać bon gré mal gré z fałszywą sytuacją. Jeszcze kładąc się spać, gdym wydał rozkazy, by Śmigły komendę objął i Stochód jednak forsował w tym czasie, kiedy ja do Łucka pojadę, myślałem ze śmiechem przekory, że los dał mi wygraną nad moimi chłopcami.

Jeszcze parę dni temu w Kowlu nie chcieli ani słyszeć, by się ze mną rostać, i gwałtem żądali, by iść na skandal z Austryjakami razem ze mną. Teraz będą w kontakcie z nieprzyjacielem, skandalu żadnego nie zrobią, a ja będę go miał sam w kwaterze arcyksięcia.

Habent sua fata homines!

Druskieniki 6 lipca 1924 r.

Edward Słoński

BRYGADJER PIŁSUDSKI.

Kto, jak on, nasz brygadjer Piłsudski.
Polskę w sercu, śmierć w tornistrze nosił,
Kto, jak on, tak u Boga wyprosił,
by stąd odszedł najeźdźca kałmucki?

Kto, jak on z Bogiem tak się targował
pod Łowczówkiem z krzywą szablą w ręku
o tę Polskę, pełną krwi i jęku
o tę Polskę, którą wróg rabował?

Kto jak on?....,
Pamiętajcie to imię,
co z tęsknoty do Polski wyrosło,
gdy wróg deptał ją z butą wyniosłą,
całą w ogniu stojącą i w dymie....

Ten żołnierski wysiłek nadludzki
wy swym dzieciom w kolebkach przekażcie,
bo, jak w burzę kapitan na maszcie,
stał dziś w Polsce brygadjer Piłsudski.

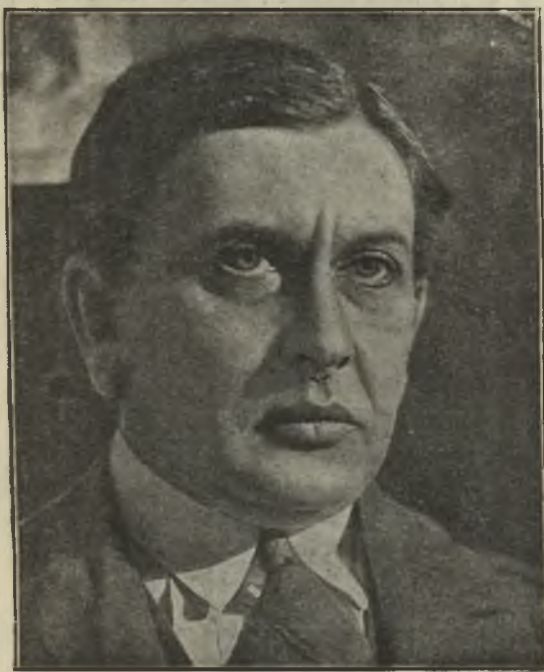
Warszawa, we wrześniu 1915 r.



Na posterunku.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

TRZEJ SIERŻANCI.



Kaden Bandrowski.

Minęły już te pierwsze świeże dnie, gdy nazwiska rannych i zabitych naszych rzadkością były bezcenną i bolesną. Dziś Polacy, jak wolny naród, w czasie wojny otwarli szczodrze tamę krwi i szeroko mogą wiązać wstęgi swej sławy.

Cenę za śmierć i cierpienie rozda polom i lasom i ludziom i rodzinom wdzięczna Ojczyzna. Nazwiska rannych i zabitych, jak poczet górny wioną nad szeregami żywych. Nie rzadkością będą bolesną, lecz świętym chlebem codziennym. Minęły już te pierwsze młode dnie, gdy każdy manewr nasz na polu walki i odgłos drobnej utarczki zgromadzał u naszej poczty, czy naszej komendy etapowej, żałosne zgromadzenie niespokojnych... Boje nadeszły lute, śmierć wśród szeregów gości, rana szeregi rwie — zaś zgromadzenie niespokojnych znikło bezpowrotnie. Nauczyliśmy się tracić i cierpieć, by zyskać. Stało się, że ojciec, matka, krewny, czy znajomy, nie jak dawniej, na pół z gniewem, lub z buntem, pyta, gdzie jest mój brat, mój syn, nie wiedząc, w jakiej kompanji, ni w którym służy bataljonie, lecz tylko — „tu gdzieś w tem naszem wojsku"... Stało się, że ojciec, matka poniechali już tej troskliwości, która takim gniewem napawała żołnierzy. Zjawiają się dziś wszelacy krewni, spokojnie i rozumnie, jak po orzeczenie słusznego losu, zjawiają się w promieniach piękna duszy, która się zżyła ze srogą łaską wojny.

A jak już dobrze wniknęli w organizacje tego wojska, które dawniej było dla nich tylko ogólnikowem jakiemś zbiorowiskiem. Pluton, kompanja, bataljon, pułk,—na pamięć to umieją i nie pomylą się...

Minęły już te pierwsze dnie tkliwości, a to, co dawniej za ofiarę uważano, pojęto wreszcie, jako obowiązek.

Możemy już dziś, dla zbudowania żywych, mówić o śmierci po prostu. Żołnierska dola nauczyła nas rozumieć ją mężnie, skromnie w granicach celu i sprawy. Melduję posłusznie — rzeknie szybko gdzieś w polu ordynans — że komendant naszej kompanji zginął...

Tak się dziś wypowiada — ustąpienie z szeregu.

Nauczyliśmy się umierać przykładnie. że aż wiedza i szczęście w tem kwitnie ogromne.

Taką właśnie prostą śmiercią, poufnie skłonom ziemi oddaną, zginęli w boju 22 grudnia 1914 roku trzej żołnierze I-szej kadrowej kompanji, sierżanci I Legjonu, Kazimierz Kamiński (Luboń), Kazimierz Strzelecki (Kazik) i Henryk Dobrowolski (Sęk).

Wyszli razem 6 sierpnia z Krakowa, w tej pierwszej kadrowej kompanji, która niosła do Królestwa bicie wszystkich gorących serc Polski i gniew najszlachetniejszej zemsty. Radość ta należała się Kamińskiemu. Zapracował na nią jeszcze jako student instytutu elektrotechnicznego, organizując Związki w Rosji i Petersburgu. On, który tak dobrze umiał oblecieć wszystkie kąty studenckiej polityki, tak dobrze wszystkie koteryjki zamazać, a całość roboty trzymać w garści... On, który dobrym szlakiem dziadów, pradziadów, Padlewskich, Schwarzów i wszystkich tamtych kuł zemstę w gnieździe wroga... Na radość tę zasłużył Strzelecki, cichy pracownik, jeden z tych niestrudzonych dobrodziejów plutonu, którzy warzą jedzenie dla innych, gdy inni się po długim marszu walą z nóg, którzy znajdują kwatery, gdy inni się już ruszyć nie są w stanie. I zasłużył sobie trzeci z nich młodziutki Dobrowolski, członek Strzelca Warszawskiego, by był między pierwszymi, którzy wejrzeniem żołnierza witać będą zabrany drogi kraj.

Wszyscy trzej zginęli w bitwie dnia 22 grudnia. Strzelecki skończył tak samo, jak żył, skromnie i cicho, od rany w serce, — w randze sierżanta. Zginął

Dobrowolski, tak właśnie ślicznie dotrzymując przyjaźni, jak pięknie szedł do boju. I trzeci sierżant Luboń...

Do ataku biegł pierwszy. Rażony kulą klęknął, przytulił się do drzewa. Lecz nie wypoczywał zbyt długo. Spostrzegłszy, iż krwi zatamować nie zdoła, ściągnął dłonią kurtkę na skrwawionej piersi i skoczył naprzód.

Słyszeli wszyscy jego wołanie: Niech żyje Polska, Legjoniści naprzód!!!

Runął trafiony w czoło.

Po bitwie przyniesiono tę resztę ziemskiego pożytku, której wespół z sierżantem nie zakopano w pamiętliwej ziemi rodzinnej. Cała sława, wszystko żołnierskie sprawowanie, cała konduita sierżanta zawarta w dwóch małych notesach. wysuswalonych, wygniecionych...

Na tych wąziutkich stronicach zaczął pisać sierżant Luboń: „6.VIII-1914, czwartek. Alarm o drugiej rano. Zbiórka przed trzecią. Wymarsz z Krakowa pierwszej kadrowej kompanji wojsk polskich".

Należał do pierwszej załogi w Słomnikach, tu głosi wytarta stronica: „Pierwszy raz mówiłem do chłopców... Po stu latach przychodzimy wojsko polskie za wolność i lud. Sam ledwom się nie rozpłakał".

I później, o wiele później po różnych losach, po ciężkich tarapatach: „Wleczemy się do Lasków. Zapewne zaraz pójdziemy w bój. Trzeba z pogardą śmierci śmiało, wesoło, z pogodną twarzą iść w bój... By moi najdrożsi wiedzieli, żem walczył i ginął mężnie za sprawę, o której tyle lat marzyłem, dla której rozdmuchania wytężałem swój zapał młodzieńczy. Skończyła się gadanina"...

W dwóch małych notesach, przez godziny zbiórek, racje otrzymanych sucharów, gotowania kawy i te niewyczerpane „idziemy dalej", i te rozmaite „budzą o piątej", przez chwile postoju i walki, kroczy prosta chwała piechura, klasyczna dzielność sierżanta... Aż oto schodzi z kartek dziennika, pochyla się nad drzewem, do którego tulił się ranny Luboń... Kwitnie wielka ogromna, tam gdzie padł rażony w czoło kulą śmierci, a wraz dotknięty pocałunkiem nieśmiertelności.

Razem wyszli, razem zginęli trzej sierżanci, społem leżą pod grządką świeżo usypanej ziemi, a szeregi, które już naprzód bez nich poszły i idą, niosą radosne wezwanie Lubonia: „Niech żyje Polska! Legjoniści naprzód"!!!



Polska Góra.

Marjan Dąbrowski.

ŚMIERĆ MAJORA WYRWY-FURGALSKIEGO.

(Z cyklu: „Żołnierz I Brygady).



Wyrwa-Furgalski.

Następnego dnia 6 lipca, odwrót trwa dalej. Nie jest to zwykły odwrót, a nieustająca bitwa, w której żołnierz prosty rywalizuje w dzielności ze swoimi komendantami. Tak podporucznik Dorobczyński idzie na czele swego plutonu, mając o dwa kroki samego pułkownika Śmigłego. Doświadczony wódz, wiedząc, że pluton ten przeważnie z młodego, nieotrzaskanego jeszcze z bojami żołnierza jest złożony, postanawia sam iść w arjergradzie. Odwrót pierwszego baonu osłaniał pluton podporucznika Marskiego, mając wciąż na karku Moskali.

W słynnem odparciu kawaleryjskiej straży przez V i VI baony majora Fleszara, jedynie pluton podporucznika Świderskiego z I go baonu wziął udział, jako że on stał na wzgórku. Natomiast porucznik Kruk przebijał się ze swymi bagnetami przez otaczających go Moskali.

Bez żadnych prawie strat dokonuje się odwrót w kierunku Perekrestja, Cofano się dwiema grupami. Grupa pułkownika Śmigłego miała w straży tylnej pierwszą, drugą i trzecią kompanję I-go baonu, oraz spieszoną kawalerję; grupa majora Bukackiego składała się z czterech kompanji III-go baonu i niecałej 4-tej kompanji I-go baonu.

Nad rzeczką Czerewachą zarządzono krótki postój nocny.

Nazajutrz pozostawiono za mostkiem na rzece spory oddział piechoty pierwszego pułku z karabinem maszynowym, by urządzić na wroga zasadzkę. Zasadzka ta miała najzupełniejsze powodzenie. Szwadron rosyjskich dragonów został zupełnie prawie zniesiony, a dowodzący oficer padł.

Niedługo trwał odpoczynek 5-go pułku. Nad ranem 6-go lipca, o godzinie 3-ciej rusza pułk do Nowego Jastkowa, gdzie stał sztab I-szej Brygady. Pułk 5-ty przeznaczony został do rezerwy brygady i rozłożył się na dłuższy postój, zajmując pozycje na drugiej linji błotnistego Garbachu i wystawiając posterunki obserwacyjne w stronę Wołczka: Tu podczas odparcia kawaleryjskiej szarży rosyjskiej przez VI-ty bataljon w ręce pułku wpadło 7 koni dragońskich, które acz lekko ranne, zdołały jednak przycwałować nawet do rezerw naszych.

Wobec wycofania wszystkich wojsk z pozycji nad Styrem, oddziały legionowe ruszyły drogami odwrotnemi w kierunku na rzekę Stochód.

Główna odwrotna kolumna wojsk I Brygady sunęła po drodze Konskoje—Smołówka—młyn nad rzeczką Maniewką. Kierunek był wprost na zachód. Czoło kolumny odwrotowej prowadził major Trojanowski, mając kilku jeźdców łącznikowych przy sobie. Na przedzie 7-go pułku piechoty jechał major Fleszar, dalej kroczył rezerwowy bataljon pruskiej piechoty, za nim pułk 5-ty, a w arjergradzie szedł pułk 1-szy Śmigłego, aż na końcu liczne podjazdy ułanów naszych, rozrzucone jako ubezpieczenia, ostrzeliwały się następującej awangardzie nieprzyjaciela. Artylerja 1-go pułku majora Brzozy równocześnie prawie z taborami pułków cofała się o kilka godzin drogi wcześniej na linję Stochodu.

Marsz pułku 5-go odbywał się powoli, a z dużemi przystankami. Ludzie upadali ze znużenia, pył dróg piaszczystych wyżerał oczy. W ustach huczał nieustanny grzmot armat, świst piekielny pękających pocisków. Drzew i krzaków leśnej drogi nie muskał najmniejszy powiew. W labiryncie dróżynek i kolein leśnych w jasny dzień nawet trudno było się zorjentować. Cóż mówić o nocy, skwarnej, lipcowej nocy, po dwudziestu czterech godzinach nieustającego ognia artylerji moskiewskiej.

Przy jednym z licznych rozwidleń drogi maszerujący na przodzie oddział skręcił błędnie na południe, drogą na Chlupin, przez co pozbawił pułk 5 ty arjergrady i osłony kawaleryjskiej, które podążyły we właściwym kierunku na zachód.



Mogiły pod Kościuchnówką.

W pewnej chwili odwrócono na rozkaz podpułkownika Berbeckiego kolumnę marszową, i mając za sobą baon niemiecki, ruszyły znużone roty pułku w kierunku połączenia się z główną siłą naszą.

Na samym przedzie szli: Podpułkownik Berbecki, lekarz pułkowy dr. Kaplicki, adjutant; dwóch sierżantów ordynansowych prowadziło konie. Tuż jechał konno na czele swego bataljonu major Wyrwa.

Kolumna, sunąc powoli, wkroczyła na obszerną polanę. Mogła być druga godzina tej tragicznej nocy. Nawet szary świt nie przedzierał podówczas tej grubej zasłony czarnych zmroków leśnych i tego gęstego tumanu pyłu.

W ciemnościach, wśród drzew, od przodu kolumny, zarysowała się nagle konna sylweta. Podpułkownik Berbecki woła:

— Stój! kto idzie?

Czystym, pięknym akcentem rosyjskim, tak dobrze znanym podpułkownikowi, odpowiedział konny:

— Swoi, russkije!

I w tej sekundzie padł strzał krótki, urwany, a za nim gruchnęła salwa karabinowa od strony konnej sylwety. Rozległ się tętent wielu koni.

Strzały ugodziły podpułkownika, majora Wyrwę, adjutanta Roweckiego i doktora Kaplickiego.

Konie sztabowe poczęły uciekać, wpadły na kolumnę, wzniecając zamieszanie w czołowych szeregach, które sądziły, że mają do czynienia z szarżą kawaleryjską. Zamieszanie opanowali komendanci kompanji. Rozwinięto niezwłocznie linję tyraljerską z dyrekcją na północny zachód od drogi, frontem do przypuszczalnego ataku nieprzyjacielskiego.

Rozległy się wówczas okrzyki:

— Podpułkownik ranny. Gdzie major Wyrwa?

Poszukiwania w linji tyraljerskiej nie dały rezultatu. Wysłano natychmiast patrole na 200 kroków przed linje w celu zabrania rannych. Komendę nad pułkiem objął kapitan Narbut-Łuczyński.

Zaczęło świtać.

Tu oddaję pióro bezpośredniemu świadkowi odnalezienia zabitego majora Wyrwy.

„Z jednem patrolem ruszyłem i ja. Przebiegłszy ze 200 kroków, natknąłem się na ciało jakiegoś zabitego. Tuż leżał cały i zdrów, ale oszołomiony, sierżant II-go bataljonu, Stawiński, który krzyknął do mnie:

— Na drodze leży jakiś zabity oficer.

Rozkazałem, aby prowadził nas w to miejsce. Trochę na prawo od drogi ujrzeliśmy nieruchome ciało, owinięte w znaną nam dobrze pelerynę Wyrwy. Resztki nadziei, że to nie on leży, miałem, bo twarz ukryta była w fałdach peleryny. Po odchyleniu jej poznaliśmy majora. Ugodzony został kulą w lewa pierś, dostał prawdopodobnie śmiertelny strzał w serce, gdyż wylew krwi był ogromny. Czarna skorupa dużego skrzepu krwi, wskazywała na to, że serce już nie funkcjonuje. Całe ciało, chociaż jeszcze ciepłe, leciało nam przez ręce. Żadnej oznaki życia. Chcąc zabrać zwłoki, ponieśliśmy je w czterech do linji tyraljerskiej. Tam inny patrol przyniósł dające słabe oznaki życia bezwładne ciało podpułkownika Berbeckiego. Tego uda się uratować. Tyraljera miała natychmiast zdążać do lasu. My zmuszeni byliśmy zostawić trup majora na polu. Zabrałem wszystkie przedmioty i papiery, jakie major miał przy sobie".

W każdej chwili spodziewano się nowego ataku konnicy nieprzyjacielskiej. Natychmiast po nawiązaniu łączności z I-szą brygadą, ułani z Beliną popędzili na miejsce potyczki, by wyszukać ciało majora. Nie dotarli jednak do tego punktu, gdyż kilka szwadronów rosyjskich już intensywnie patrolowało o kilometr niecały od naszej arjergardy.

Ciało majora pochowali Moskale na miejscu jak o tem świadczą wzmianki w prasie kijowskiej

Bolesław Zygmunt Lubicz.

REDUTA KOMENDANTA.

Za gromem grom — w żelaznej opór tarczy!
Za strzałem strzał!... Lecz z nich reduta drwi,
Granatów ręcznych, męstwa nam wystarczy,
Dość mamy kul i w żyłach ciepłej krwi!
Żółtawy piasek ganków znaczy linje: —
— balast i tarcza, druh i symbol mąk!
Na piasku krew... Więc rannyś? Ból przeminie!
Zostanie jasność zórz płonących w krąg!

Za gromem grom!... To mówią min miotacze
I poświst kul... Granatów ciężki zew...
Na piasku krew... Więc haracz nad haracze: —
z drgających życiem żył rozprutych krew!
Więc świeży trup?... Dokoła wstęga czarna
...popielisk wkrąg Redutę objął pas — — —
Tu pożar był. Ucichła bitwa gwarna,
Pożaru — bitwy — pożar — oto, zgasł!...
Więc cóż, że trup? Wyniesiem go w pogrzebie — — —
Zaświecim łzą?... Reduta z śmierci drwi!
Ładunków dość! I stać nas, by w potrzebie
W obronie Polski przelać nieco krwi!!

Nad Styrem, w czerwcu 1916 r. na Reducie Piłsudskiego.



Okopy na Wołyniu.



Komendantowa chałupa.

Wacław Lipiński
(Socha)

FRAGMENT Z DZIEŁA „SZLAKIEM I BRYGADY"

Wstał szary świt 5-go lipca. Szept się przenosi przez okopy, że dwie kompanje Wyrwy i dwie 6-go pułku zaraz ruszą do kontrataku. Prowadzą z II batalj>nu Tunguz i Konieczny.

Świt już pobielił pola i łąki — jak ruszył kontratak pod górę. Ruszył śmiało, mocno, nieustępliwie.

Ruszył, dopadł do okopów i nie wrócił.

Przyjęła tę garstkę — cztery kompanje — masa tłumu z urągliwem wołaniem. A gdy się z krzykiem wiara na nich rzuciła, otoczono ją i wybito prawie że do nogi.

Mało kto wrócił, ale ci, co poumierali, bili się twardo. Po dziesięć moskiewskich trupów na nich wypadło.

Został na górze Tunguz, dowódca kompanji i porucznik - Konieczny Włodzimierz, przez żołnierzy swych uwielbiany oficer. Został Styczyński podporucznik. Zostali inni...

Rozjaśnił się dzień. Wysoko się słońce podniosło, gdy na miałkie, z piachu po pas zaledwie skopane okopy w Lasku Polskim — zwalać się zaczęły z gwizdem przeraźliwym 18-ki i ciężkie granaty. Rozjuszyły się wizgiem przerażającym, i masztowe, wielkie sosny ponad las wysoko wyrzucać poczęły. Oblekły las obłokami potężnemi, wydmuchami wielkiego piasku, ziemi i dymu, żelazem i ogniem go zarzuciły.

Rozjęczały się w powietrzu ostre odłamki.

Na krwawą miazgę rozdzierały, nurzały się we krwi, bijąc w żywych, bijąc w umarłych, rozszarpując groby naszego cmentarzyska, gdzie chowano poległych.

Legł Hajec porucznik, poległo wiele innych, bitnych, starych żołnierzy. A najwięcej tam kości z 1 Narbutta kompanji i 2 Hajecowej...

Do 6-tej wieczór, drugi już dzień, w upale piekielnym i w ogniu przetrwaliśmy niezłamani...

O tej godzinie zmienia nas I pułk. Nasz odcinek — kompanja porucznika Dęba-Biernackiego.

W nieszczęsny Lasek Polski tłuką bez przerwy granaty. Ściągaliśmy już od ganku, gdy wracał stamtąd porucznik Nilski-Łapiński. Wyglądał strasznie. Miast twarzy — szara maska stwardniałą oblepiona warstwą kurzu, ziemi i potu. Spękane, czarne usta, oczy w niesamowitej gorączce, munduru na nim nie znać zupełnie...

Powoli dźwigamy się drugą linją do Lasku Saperskiego, gdzie stoi nasz tabor bojowy. W prostej linji jest to ze dwa kilometry, a okopami i gankami będzie pięć.

Żółty piach ganku obsadził już pierwszy pułk Przechodzimy wśród nich milczący, spokojni, nieco dumni, a oni patrzą na nas z pełnym szacunkiem. Boć tyle, cośmy piętacy przeszli w tych dniach, nikt jeszcze z Brygady nie przeżył.

Dłuży się droga w płytkich gankach. Gonią za nami dymki szrapnelowe, gdyż „captiv" już spostrzegł nasze przesuwanie. Po 7-mej nad wieczorem zaszliśmy do Lasku Saperskiego. Ściągaliśmy grupkami, zmordowani do cna, wyczerpani bitwą, ogniem, spiekotą, bezsennością. Coraz to w drodze mdlał któryś z żołnierzy, szczególnie z I i II kompanji, które siedziały w samym Lasku Polskim pod ciężkim ogniem, w płytkich okopach. W Saperskim Lasku

jest już część bataljonu II. Spotykam Panienkę i pytam, jakie u nich straty. Chwyta się za głowę, wystękując „Tunguz, Konieczny, Styczyński"... I mówić chciał dalej, lecz bez słowa odchodzę. Nie chcę słuchać, nie mogę!

Zbiórka. Składamy broń w kozły i przedewszystkiem zaczynamy się myć! Po jakiem takiem umyciu — zaraz obiad, lecz nawet nie skończyliśmy go jeść, gdy już w lasku roznosi się długi świst kul! Z Polskiego Lasku dochodzi zapamiętałe trajkotanie maszynek i porywisty gruchot karabinowego ognia. Co chwilę zrywa się przeciągłe uurra, uurra!!!

II bataljon i I-szy pułk cofają się — front drugiej linji przełamany: Austryjacy znów na skrzydle zwiali.

Natychmiast piorunem rozwijamy się nad brzegiem lasku, wdłuż ściany wysokich sosen. Powoli już ściągają pierwsi zwiastuni odwrotu. Spokojnie, podpierając się szablą, idzie Berbecki otoczony swoimi sierżantami, za nim w pelerynie rozwianej — Wyrwa.

Jakaś kompanja II bataljonu rozwija się od nas na prawo. Słychać donośny, lecz chrapliwy i zmieniony do niepoznania głos Wyrwy, wydającego dyspozycje.

— Rozwinęliśmy się i padli. Prawdopodobnie będziemy osłaniać odwrót.

Od drugiej linji, jak paciorki rozsypane, zbliżają się tyralierskie linje. Ciągły ogień i krzyki polatują od nich. W pewnej chwili, z pod Lasku Polskiego wyrznęły w górę wysoko dwa słupy ognia i w szarzejącym już dniu widać, jak stamtąd galopem pędzą artylerzyści Wysadzili baterję i jaszczyki, gdy już waliła się na nich tyraljera moskiewska, a sami wieja na łeb na szyję ku nam, przez pola.

Z lewej strony od ciemnego tła leśnego nieustanny dochodzi ogień i nieustanne wycie moskiewskich rot!

Tam I pułk i III Brygada osłania odwrót.

Za chwilę znów zbiórka — inne dyspozycje. Maszerujemy w tył kompanjami w odstępach 100 kroków, na most do Nowej Rarańczy. Początkowo kolumną, lecz gdy ostre świsty kul docierają gęściej, zjadliwiej — rozwijamy się w dwurząd.

Zapada mrok. Maszerujemy pagórkowatym piaszczystym terenem, porosłym z rzadka jałowcem. Za nami goni ciągle, nieustannie rosyjskie urra!

Mrok coraz gęstniał, aż zapadła noc. Urwały się raptowne piaski, jałowce przeszły w krze wilgotne. w olszynki szelestne, pachnące rzeźwe łąki. Przez szeroką bagnistą łąkę prowadzi długi most — grobla Garbachu. Głucho dudnią pod setkami stóp brunatne okrąglaki. Zewsząd wloką się maruderzy, pozapóźniani, ranni. Świst kul już nie dochodzi, natomiast w tyle za nami krwawi i zalewa niebo purpura łuny tłucze się nieustanny gruchot karabinów i rozlewne przeciągłe urra!!!

Noc jeszcze ciemniejsza zapadła, gdy ogarnął nas oddec em swym bór głęboki. Jakiś oddział 6-go pułku obsadza za groblą świetnie maskowaną linję. Podoficerowie wyznaczają miejsca i strzelnice nieraz z groźbą na ustach, gdyż wiara odwrotem już zdemoralizowana.

Za tą ostatnią linją obronną dźwigamy się ciągle przez piachy leśnej drogi. Pułk maszeruje w głuchem milczeniu i zmordowaniu, do cna, nad miarę ludzką utrudzony.

Miejscami, gdy droga leśna wbija się nagle w wilgotne bagna mostem wysokim, a po bokach czernią kałuże wody, wiara wypada z szeregu i rękoma, czapkami chłepce wstrętną, bagnistą wodę. Próżno sanitarjusze krzyczą, grożą, klną na czem świat stoi. Nikt nie słucha...

Przechodzimy obok jakichś zabudowań, willi leśnych, zagród żołnierskich. Kierunek mamy na Nową Rarańczę — tam nocleg.

Późno już, w noc rozkwaterowaliśmy się w długiej, ogromnej szopie i jak kamienie walimy się na ziemię.

Marjan Dąbrowski.

Z CYKLU: „RÓŻANIEC ŻYCIA i SMIERCI".



Major Fleszer.

POLSKA GÓRA.

I.

W czerwcowy słoneczny dzień pędził pociąg wojskowy z Kowla do Maniewicz, unosząc mnie coraz dalej od centrów spokojnego kulturalnego życia w powstającej Polsce: od Krakowa, Warszawy, Lublina, w zapadłe bory Polesia wołyńskiego, w jego piachy i bagna, wchłaniające od pół roku tyle krwi...

Z okien wagonu widać, gdzie okiem sięgnąć, piękny kobierzec łąk błotnistych. Desenie wonnych kwiatów, wszystkiemi barwami tęczy grających w złocie słońca, inkrustowane srebrem pni brzozowych na tle zielonych traw, najpiękniejsze widoki roztaczają.

Chmura pyłu kwietnego wisi nad Stochodem. Pomimo huku pociągu, słychać wyraźnie ten głuchy, a pełny gwar trzmieli, miljardów innych owadów, unoszących sią nad łąkami, trawami i zbożami. Spełnia sie odwieczne misterjum nieśmiertelnej przyrody...

Wtem różnobarwny kobierzec kwietny zaczyna od Hulewicz przybierać wyraźny czerwony odcień. Maki, jak wielkie kielichy krwią wypełnione, dominują nad innemi kwiatami. Tworzą się widome zupełnie czerwone drogi, pasma szerokie, strumienie krwawe, całe stawy wreszcie. Zda się parny zapach krwi idzie w lazurowe niebo... Jakże męczący, okrutny jest ten widok!

* * *

Sosnowy bór, wzrosły na suchych, piaszczystych wzgórzach pod Kostiuchnówką. Upał południa lipcowego. W atmosferze, stężałej w ołów, istne piekło wściekłych poświstów, ryku, wybuchów. Każdy nerw stuletniego lasu napięty jest, jak cięciwa łuku.

Poraz pierwszy w życiu jestem świadkiem „huraganowego" ognia artylerji. Z okopów na lizierze lasu widać w lewo białą Redutę Piłsudskiego, w dali zaś bucha wulkan piachu na t. zw. Polskiej Górze. Tam jest klucz pozycji naszego odcinka nad Styrem.

* * *

Jasno-błękitną kopułę niebios raz poraz rozdziera parabola granatów, dziurawi przeczyste sklepienie pękający szrapnel, rozsiewający w dzikim chichocie setki kulek i siekańców.

Szatan opętał ludzi i przyrodę. Sprawuje niepodzielne tu swe rządy. Odprawia swe nabożeństwo. Olbrzymia kadzielnica „Polskiej Góry" dymi ku niebu.

* * *

Tam na tej Górze wszystkie prawie oddziały odradzającego się wojska polskiego w roku ubiegłym jeszcze krwawe hekatomby złożyły. Jedynie pułk 5 piechoty t. zw. Zuchowatych Berbeckiego — nie dostąpił wówczas krwawego zaszczytu. Za to dziś obsada lewego zbocza góry właśnie pułkowi temu przypada.

Myrrhą szatańskiej kadzielnicy stały się w tym boju ukochane ciała żołnierzy naszych.

„Pułk stracił swego dowódcę ciężko rannym, obu komendantów bataljonów zabitymi, połowa dowódców kompanji legła zabitych i rannych, więcej niż połowa oficerów i prawie połowa żołnierzy spłaciły krwią serdeczną dług Ojczyźnie i sławie wojska"... pisze w rozkazie Komendant Piłsudski.

* * *

Zginęli. „Jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec", poszli po kolei na śmierć!...

Jak kamienie!... Bezcenne rubiny, djamenty.

Już nie przejrzy się niebo w jasnych oczach Wyrwy-Furgalskiego, „który tyle sławy nam przysparzał, tylu upadających moralnie swym humorem, tężyzną podtrzymywał".

Przed dwoma laty jeszcze podziemna Warszawa czytała w „Podchorążym" opis pierwszych czynów bataljonu Wyrwy-Furgalskiego.

I nie zobaczy ukochanego syna swego Warszawa. Nie wróci już nigdy do swoich w stolicy młodziutki kapitan Sław-Zwierzyński.

I wielu, wielu innych nie ujrzy Warszawa.

* * *

Stratowa e kobierce łąk nad Stochodem. Pył piachu z dróg i traktów odwrotowych wżera się w oczy i w usta nieludzko utrudzonych żołnierzy. Z przestrzeloną piersią, z raną ręki, bezsilny, nieprzytomny prawie, zczerniały na proch, leży na wózku podpułkownik Berbecki. Wokoło wozu, wrzask ludzkiej ciżby, oszalałe od razów zwierzęta pociągowe, osadzone ciężarem terenów.

Wszystko w tumanach szarego, gryzącego pyłu, gdzie tai się śmierć...

* * *

A jednak „już wiedzą, że my jesteśmy niezniszczalni“ i z tej próby wyszły młode zastępy obronną ręką.

Stochód, rzeka Stochód, stu ramionami rozlewająca się szeroko, szeroko..,

Z krwawych strumyków, jezior, stawków, kałuż sączy się życiodajna moc ziemi... Podskórną drogą z błot i piachów Polesia przenikać będzie, hen w kierunku na zachód, ku Warszawie. Wylanej krwi młodego polskiego żołnierza Stochód odrodzi Ojczyzne!...

II.

Nadeszły tragiczne dni bojów lipcowych pod Kostiuchnówką. Szło o „Polską Górę”. W „Polskim Lasku“ założył siedlisko Berbecki na czele „Zuchowatych”.

Zwykle popędliwy, zdawało się niecierpliwy i porywczy, w miarę powagi i przedłużania się boju, stawał się Berbecki spokojny, zimny, wyrachowany.

Gdy huraganowym ogniem 104 armat moskiewskich, walących w „Polski Lasek“, roztrzaskane zostały wszystkie prawie ziemianki, gdy w komendzie pułku telefon rwał się jak pajęczyna, granat już obalił węgieł ziemianki Berbeckiego, a z otaczających kilku ludzi dostało obłędu, dowódca „Zuchowatych“, spokojnie dyktował meldunki sytuacyjne do Brygady, kilka razy odwiedzał strzelców w okopach, planował kontrataki i nie myślał ruszać z pozycji.

Gdy wreszcie ruszyło 14.000 moskiewskiej piechoty do szturmu, a w drugim dniu boju miał być zluzowany pułk 5-ty:

— Otóż tedy, ja się tu zostanę, bo znam odcinek—zatelefonował spokojnie Berbecki.

* * *

Granat rozszarpał w kawałki sanitarjusza Sotę. Od szrapnelowych kul zginął porucznik Janicki. W ataku na bagnety legł ulubieniec Berbeckiego kapitan Sław-Zwierzyński. Połowa oficerów pułku ubyła z szeregów. Żołnierze cudów waleczności dokonywali. Nieśmiertelną sławę zyskał sobie podporucznik Myszkowski swoim kontratakiem, odbierającym „Polską Górę“.

Aliści twarda konieczność boju zmusiła młodych herosów do ustąpienia.

Ostatni ustępował Berbecki. Z dobytą szablą w garści, z papierami pułku pod lewą pachą. Zwolna cofnął się Berbecki, wśród żelaznych zaiste chłopców z kompanji podporuczkika Deschu.

— Łowi komendanta! Łowi Berbeckaho!—Pan, sdajsia! — wrzeszczała nacierająca tłuszcza moskiewska.

Odpowiedzią był spokojny ogień chłopców, czasem padał strzał browningowy oficera.

* * *

Na drugiej linji pozycji, stanął pułk zdziesiątkowany, zmożony, dobywając resztek sił.

Jego komendant wychylił duszkiem dwie butle wody mineralnej i znów był gotów do pracy. Przez 3 doby boju może wypoczywał trzy godziny.

A i teraz w noc wypadł marsz odwrotowy. Las, piach, ciemności, odwrót całej armji.

Berbecki w nagłych wypadkach czuwa za wszystkich. Nic też dziwnego, iż gdy pułk stracił nagle łączność nie ze swojej winy, na czoło wysuwa się podpułkownik. Idzie w szpicy pułku.

Zaledwie upłynął kwadrans tej piekielnej zaiste drogi, gdy w czoło pułku gruchnęła z gęstwiny leśnej salwa wrażych, przyczajonych sołdatów.

Dwie kule trafiły Berbeckiego. Zanim utracił przytomność i zwalił się w piasek, zdołał wydać potrzebne rozkazy swemu następcy.

Oddani żołnierze unieśli bezprzytomnego komendanta z placu boju.

Jakim cudem ten człowiek przetrzymał drogę, początkowo na płachtach namiotu, później na trzęsącej bryczce, później jeszcze na węgierskim wózku, przez groble i piachy Wołynia, pozostaje nie dla mnie jednego zagadką.

Najwięcej dziwili się lekarze....

Rogata dusza, jak u bohaterów sienkiewiczowskich, za nic nie chciała opuścić postrzelanego ciała.

* * *

Już dnia 16 lipca, w szpitalu kowelskim, mógł pułkowy lekarz skonstatować, że Berbecki żyć będzie.



Na Polskiej Górze.

Józef Lasoń.

GROBY BOHATERÓW.

Żołnierski cmentarz.....

Wokoło balustradą z pniaków brzozy otoczony.

Biała kora brzozy, misternie połączona, przepięknie otacza groby poległych.

Równiutkim rzędem mogiły usypane, proste krzyże również z pniaków brzozy i tabliczki z napisami.

W pośrodku kapliczka, białą korą, jakby przeczystą szatą przystrojona.

Snuje się wzrok po sterczących krzyżach i ciekawie czyta napisy.

Obok żołnierzy niemieckich, rosyjskich—mogiły legjonistów.

W drugim rzędzie od wejścia, trzeci czy też drugi grób — to znanego bohatera grób — Adolfa Sternschusa.

Na drewnianej tabliczce napis wypalonemi drutem literami:

„Ś. p. dr. Sternschus,
były porucznik, z własnej woli szeregowiec
I brygady Legionów polskich i t. d.

Dziwne uczucie ogarnia sercem człowieka.

Krótko znałem ś. p. Sternschusa, parę razy zaledwie podczas wo ny miałem sposobność zbliżyć się ku niemu a jednak jakże głębokie wywarł wrażenie.

Więc cicha, prosta mogiła, krzyżem brzozowym zdobna i tabliczka dłońmi kolegów broni wyrzeźbiona i do krzyża przybita.

I myślę:

Legł tutaj człowiek, w ustronnej spoczął mogile, pozostał jednak czyn jego i imię, pozostała krwią pisana historja, która z pokolenia na pokolenie przejdzie i świecić wiecznie będzie.

Z białej kory brzozowej cmentarzyk w M.

Wspólna mogiła.

Gdzieś na bagnach Wołyńskich pod H. L. jest wspólna mogiła sanitarjuszki Błaszczykówny z Legionistą, któremu w ostatniej chwili pomoc chciała nieść i padła ofiarą obowiązku.

Krótka historja.

Ś. p. Błaszczykówna pochodziła z Łodzi, skąd udała się w ubraniu męskiem do Legionu pod nazwiskiem Tadeusza Zalewskiego.

W sierpniu ubiegłego roku z kompanją marszową wyruszyła na front, do Besarabii, gdzie w krótkim czasie otrzymała postrzał w nogę.

Pomimo rany, ponownie udała się do linji—jednakże niezagojona rana poczęła ropieć i zmusiła ją do cofnięcia się z linji.

Przydzielono ją następnie jako sanitarjuszkę do II pułku i na froncie Wołyńskim pod B., śpiesząc z pomocą rannemu żołnierzowi, otrzymała kulę w brzuch, która spowodowała śmierć.

Pochowano ją we wspólnym grobie wraz z żołnierzem, któren u niosła pomoc.

Więc wśród bagien i puszczy mogiła wspólna —i niezapomniany Czyn.

Wiele jest mogił nieznanych.

Czasami nawet Ci, którzy ostatnią przysługę poległemu oddają, nie wiedzą ni nazwiska, ni czynu.

Jeno sterczą kurhany, ciosane lub proste krzyże, nigdy już może nie odwiedzane przez najdroższych, w rzewnej tęsknocie opłakujących gdzieś może o setki kilometrów i zgon i tęsknotę do nieznanego grobu.



GENERAŁ BERBECKI.

GENERAŁ RYDZ-ŚMIGŁY



Jan Kawiński.

CHRZEST POD KULAMI.

Pełniłem w tym czasie z plutonem ułanów służbę ordynansową przy komendzie Brygady.

Przeżywaliśmy okres polityczny „nieszafowania krwią", taką bowiem była cicha instrukcja podpułkownika Śmigłego - Rydza, zastępcy dowodzącego Brygadą. Odbywaliśmy marsze bojowe kontredansowe: Gałuzja — Wólka Gałuzińska — Bielska Wola tam i z powrotem.

Szare i monotonne Polesie wzmagało smutny nasz nastrój nad Styrem, wywołany nieprzychylnie układającemi się horoskopami politycznemi.

Trawiaste błota, lasy bagniste, tu i owdzie wydmy piaszczyste, rzadziej poletka, które wskazywały na miejscowe oazy. Przesuwanie się z miejsca na miejsce było utrudnione — jedyne drogi wiodły przez piaszczyste wydmuchy, pośród błot rzucone. Moskalom znane były jednak dróżki i ścieżyny boczne, które wskutek suchej późnej pory jesiennej stawały się zdatne do przebycia.

W słoneczny ciepły dzień październikowy komenda Brygady z dwoma bataljonami piechoty zatrzymała się na krótki wypoczynek we wsi Gałuzji. Sztab Brygady skierował się w stronę dworskich zabudowań. Pora obiadowa — trzeba było coś przegryźć.



Minister Sławoj-Składkowski.

Przystajemy przed dworkiem poleskim. Wychodzą gospodarze, p. p. Bodechowscy, którzy serdecznie zapraszają nas do środka. Zsiadamy z koni, wchodzimy do mieszkania. Pan Bodechowski rozradowany, że może nas gościć u siebie, a jednocześnie smutny, przeczuwał bowiem, że krótki będzie nasz postój, że znów pozostawimy ich we wrogich rękach. Pani Bodechowska zarządza obiad.

— Księże kapelanie... zawołał ktoś, zwracając się do ks. Ciepichałła, kapelana 1 p. p.

Pani Bodechowskiej zabłysły radością oczy, spojrzała na tego, którego zwano księdzem. W sąsiednim pokoju słychać było głosy dziecęce.

— To z panami jest ksiądz — pyta mnie zdziwiona pani Bodechowska, — polski ksiądz?

— Tak jest, proszę pani, prawdziwy polski ksiądz; ten oto, którego pani widzi, a który nietyle wzrostem, ile duchem wielki.

— Prawda, taki dobry uśmiech może mieć tylko nasz ksiądz; — odpowie, pani Bodechowska.

Nie mogłem zaprzeczyć, gdyż rzeczywiście swoim uśmiechem ks. Ciepichałł każdego z nas rozbrajał.

Siadamy do obiadu. Gospodarz nam usługuje. Opowiada, jak miejscowi chłopi są dla nas nieprzychylni, jak wrogo usposobieni również dla niego, dzierżawcy majątku. Dzielny ten polak nie liczył się z tem, że gościna, nam okazana, może ściągnąć na niego odwet ze strony Moskali, na co zwracaliśmy mu uwagę.

Pod koniec obiadu wpada oficer ordynansowy z meldunkiem. Podpułkownik Śmigły odbiera meldunek, poczem zarządza natychmiastowy wymarsz. Okazuje się, ze znaczne siły konnicy moskiewskiej otaczają od południa wieś, a zdążając znanemi sobie drożynami leśnemi, chcą nam odciąć jedyną drogę odwrotną.

Padają rozkazy; piechota niezwłocznie opuszcza wieś; rotmistrz Orlicz ze szwadronem ułanów obejmuje straż tylną; powstrzyma napierającą konnicę nieprzyjacielską; państwo Bodechowscy wyjadą z nami, zabiorą rzeczy najniezbędniejsze....

Od strony placówek rozlegają się dalekie strzały. Zabieramy się do wymarszu.

Do pokoju wchodzi zapłakana pani Bodechowska, starszego synka trzyma za rączkę, drugie młodsze dziecko na ręku.

— Panie pułkowniku! my jednak nie wyjedziemy, tutaj jest nasze i naszych dzieci mienie całe, krwawo zapracowane. Niechaj się dzieje, co chce,— zostaniemy! Zróbcie nam tylko jedną przysługę: dzieci niechrzczone, my tutaj księży nie mamy, niewiadowo co czas przyniesie... Jedynem moim pragnieniem jest — ochrzcijcie nam dzieci!

Zerwał się ksiądz kapelan, zdumieliśmy się wszyscy. Poznaliśmy w tym momencie Polkę kresową. Ks. Ciepichałł z całą sedecznością, sobie tylko właściwą, wziął panią za ręce, słowa nie mogąc wykrztusić. Ja zaofiarowałem się na ojca chrzestnego.

— Dobrze — zarządza pułkownik — ks. kapelan i ppor. Janek zostają, ochrzczą dzieci, my wyruszamy zaraz. Przyłączycie się do Orlicza. Uwazajcie tylko, żeby ułani nie wymknęli się bez was, aby i wam kozacy chrztu krwawego nie sprawili! Zresztą, Janek — ułan, to swoich wyczuje.

— Nie boję się — melduje ks. Ciepichałł — wierzę w swego Antychrysta — mała, lecz poczciwa szkapina, on mię nigdy nie zawiódł

— Tak, ksiądz zawsze ma z nieczystemi siłami do czynienia...

Pozostajemy. Gospodarze czynią przygotowania do chrztu.

Ksiądz Ciepichałł wyciąga flaszeczkę z wodą święconą i stułę. Ja mam być ojcem chrzestnym starszego chłopca Stefana, matką stara klucznica. Niańka Paraska zostanie matką chrzestną młodszego synka Tadeusza, lecz ojca chrzestnego brak...

Drogą przeciągają tylne straże piechoty. W oddali coraz częściej łomocą karabiny — to nasi ułani już strzelają na dobre. W tem przez okno ks. Ciepichałł spostrzega podążającego śpiesznie za piechotą doktora Sławoja-Składkowskiego. Wzywa go na drugiego ojca chrzestnego. Doktór wpada do dworu, humorem, jak zwykle, tryska. Wysłuchał o co rzecz chodzi.

— Byczo! byczo! dawajcie dzieciaki, dawajcie mi Paraszkę za kumę, chrzcijmy chłopaków, przyszłych żołnierzy Polski! Nie bójcie się państwo Moskali! woła impulsywny doktór.

Wszystko gotowe do chrztu. Ustawiamy się parami: ja z klucznicą. doktór Sławój z Paraszką, dzieciaki zapłakane przed nami. Matki chrzestne drżą z przestrachu, a ojcowie poważni, ksiądz Ciepichałł skupiony, pani Bodechowska szczęśliwa.

Rozpoczyna się chrzest, padają pierwsze słowa ks. kapelana...

Strzały karabinowe wzmagają się, stają się coraz bliższe. Po chwili rozlega się niedaleko terkot karabinów maszynowych.

Zbladła pani Bodechowska, zatrzęsły się matki chrzestne, moja kuma półgłosem się modli.

Spojrzałem w okno: w oddali widać wynurzający się z lasu łańcuch czap czerkieskich. Spostrzegł to ksiądz Ciepichałł. Nic to jednak — nie spiesząc się, spokojnie kończył rozpoczęty obrząd.

Chrzest skończony Najwyższy był czas, aby dworek opuścić. Całujemy pośpiesznie chłopaków, żegnamy rodziców, wychodzimy przed dom. Spotykamy rotmistrza Orlicza.

— No, panowie, będziemy torowali sobie drogę szablami, lada chwila będziemy odcięci...

Siadamy na koń i wyruszamy wraz z Orliczem z ostatnią jego arjergardą. Kule bzykają nad głowami.

— Księże kapelanie, radzę schować się pod brzuch Antychrysta, bezpieczny to schron od kul, a i przy szarży łatwiej się będzie prześlizgnąć w ten sposób.

— Nie żartujcie rotmistrzu. Przy takim stalowym mężu, jak wy, nawet kapelan czuje się bezpieczny. Trzymam się waszego boku Doktorze Janku, a jak się zwie klacz wasza?

— Utrzymanka, księże kapelanie.

— E! nie żartujcie, poruczniku, takie brzydkie słowo wymawiacie...

— A czy w tak poważnej chwili ksiądz kapelan musi o takie brzydkie rzeczy pytać?...

W parę dni później szwadron nasz zajął z powrotem Gałuzję. Oczom naszym przedstawił się straszny widok: dwór doszczętnie ograbiony i zniszczony, w piwnicy trup p. Bodechowskiego, w pustych oborach nawpół oszalała pani Bodechowska z dwojgiem dzieci. Dom ograbili najpierw kozacy, później ludność miejscowa, p. Bodechowskiego zamordowali drągami chłopi.



GENERAŁ SOSNKOWSKI.

GENERAŁ ROJA



Juljan Wołoszynowski.

NIEZAPOMNIANA PAMIĘĆ.

Wojna nie jest szkołą życia, jak twierdzą niektórzy jej bałwochwalcy. A, zaiste, coś z bałwochwalstwa jest w uwielbieniu tego najgroźniejszego zabiegu chirurgicznego, a zarazem owego najwięcej bezapelacyjnego wyrównywania wzajemnych porachunków. Bałwochwalstwo to nieomal podobne jest Saturnaljom. Ofiary przyjmuje milczący, tajemniczy Saturn, odznaczający się m. in. tem, że własne pożera dzieci. Wojna szkołą życia nie jest, raczej chyba całkowitem przeciwieństwem tego pojęcia. Jest ona natomiast wielką improwizatorką, więc tem samem intuicjonistką w nieskończonych swoich przejawach, działaniach i skutkach, a przedewszystkiem najpotężniejszą chyba rewelatorką uczuć metafizycznych, zarówno w człowieku pojedyńczym, jak i w całych zorganizowanych czy niezorganizowanych zbiorowościach ludzi.

My, którzyśmy tak niedawno wojnę największą przeżyli, wiemy, co się oznacza tym krótkim terminem: wojna. Psychika jednak ludzka, podporządkowana jakoś dziwnie poddańczo naszej racji-fizyce cielesnej, zwierzęcemu niemal instynktowi samozachowawczemu, lub roślinnej prawie wegetacji, uzbroiła się teraz znów w niepamięć czy zgoła w zapomnienie chwil przeżytych, pozorując to niby powrotem do normalnych stosunków pokojowych. Nie posiedliśmy jeszcze, a może to jest zbyt trudne jak na taki mały przebieg czasu, nie znaleźliśmy dotąd perspektywy dziejowej, z której winno się oglądać wszelkie większe sprawy tego świata.

Już nie rodzierają nad nami powietrza ogniste meteory, wylatujące z czarnych ust artyleryjskich potworów, już nie słychać nam gromu i huku nieustającej burzy śmiertelnej na frontach, nie znajdujemy już dziś po sosnowych wołyńskich lasach owej dziwnie poszarpanej darni, pokaleczonej jakby jakiś człowiek żywy, od ognia czarny, od krwi czerwony, podarty w ciele na włókniste strzępy; słupy ognia dymu nie zasłaniają nam już więcej słońca przy akompanjamencie monotonnego warkotu t. zw. karabinów maszynowych, owych mieniących się wdzięcznie w słońcu polewaczek śmierci, koszących zresztą na śmierć o wiele sprawniej, niż te dawne przysłowiowe kosy śmierci; w zaroślach i w gąszczach olszynowych Kostiuchnówki, w tych najkrwawszych tu kawałkach ziemi, nie działają już w lipcu tego lata czarne, ogniem ziejące piekielnym, wulkany, zamaskowane wkrąg uroczą zieloną przyrodą letnią; — nastała cisza.

Można dziś sobie stanąć na jakimś leśnym zrębie, wśród jakiejś łączki zielonej i wilgotnej, pod wieczór, rękę do czoła przyłożyć i zaopatrzyć się także w krwawy ale cichy już zachód słońca. Na pagórku jakimś piaszczystym, porosłym wokrąg jałowcem, można stanąć, zasłuchać się w tajemniczy szum kostiuchnowskich olszynek, oddychać żywiczną mocą tych historycznych dziś wołyńskich lasów. Można wreszcie, a nawet wielce potrzeba, czynić obchód tych miejsc historycznych, nie tylko ów obchód uroczysty, ceremonjalny niejako, ale raczej ten w sobie skupiony spacer drogami i bezdrożami bohaterów, orjentując się po tych krzywdach i mogiłach pierwszych polskich żołnierzy, pierwszych żywych, a umarłych jak bogowie chcą, młodo, czołowców z orzełkiem polskim na maciejówkach, Termopylowców naszych kostiuchnowskich, tutaj w nieludzkiem bohaterstwie padłych...

To nie była szkoła—wojna taka! To było przełamanie i przezwyciężenie w sobie wszystkiego tego, co nie jest zasługą osobistą. Rzec można o Legjonistach Piłsudskiego, ileż więcej szczęśliwszych od tułaczych legjonów Dąbrowskiego, że oni, ci właśnie Pierwszobrygadziści przełamali sami i najpierwsi marazm nasz narodowy. Komendant ich, ten człowiek przełomowy w historji polskiej kilku stuleci ostatnich, który pierwszy od słowa wolności, brzmiącego u wieszczów naszych, przeszedł do czynu wolności i godności oręża polskiego, Marszałek Józef Piłsudski, stał się ich symbolem, natchnionym przeszłością, a patrzącym wciąż w przyszłość jaknajdalszą. Poczynając od Ducha, który latał nad nami wszystkimi, skrzydlaty i orli, a tak wielu z nich do wiecznego snu już ukołysał, od Ducha owego Wolności i Niepodległości poczynając, a kończąc na szarej maciejówce z miniaturą owego Ducha, orzełkiem blaszanym, wszystko ich na wieki w pierwsze karty Ojczyzny Wyzwolonej wpisało, przy tak wielu z nich stawiając czarne krzyżyki. Im wszystkim razem—nieśmiertelność pamięci naszej,—tym prawie dziś mitycznym bohaterom Narodu!

Oni to swoim wiecznym odpoczynkiem wypracowali nam dzisiejszy odpoczynek.

NIKT NIE WIE,
NIKT WIEDZIEĆ NIE MOŻE...

Nikt nie wie — nikt wiedzieć nie może
ile w se'cu żołnierskiem tęsknoty,
Kiedy ranne zaświecą mu zorze,
noc gdy ciemne rozejmie namioty,
Kiedy gwiazdy zaświecą mu Boże...
Ach, nikt nie wie, nikt wiedzieć nie może,
ile w sercu żołnierskiem tęsknoty!

Płynie Stochód — i pienią się wody,
Szumią liście w pobliskim gdzieś lesie...
— Czemuś smutny—żołnierzu mój młody,
dokąd dusza twa tęskna cię niesie?...
Płynie Stochód—i pienią się wody,
wicher dumki wygrywa po lesie,
a ty stoisz, żołnierzu mój młody,
topiąc oczy twe w nocy bezkresie...

Stoisz cichy i dumasz z tęsknoty
tę wspaniałą cisz nocnych godzinę,
a bór wsłuchał się w noc tą zdziwiony,
piosenkami, co płyną i płyną...
Hej żołnierzu, żołnierzu ty młody,
wszystkie sny twe szalone przeminą,
duszy młodej wnet skończą się gody!
Wszak tu Stochód... a nad nim armaty,
Kule jęczą wkrąg pieśni złowieszcze!
w ugor ciężkie się ryją granaty!...
— Tylko chwila została ci jeszcze!

Autor nieznany. Pisane na pozycjach Wołyńskich
Ze zbiorów p Marji Olexińskiej.



GENERAŁ ORLICZ-DRESZER



GENERAŁ PISKOR

Franciszek Sękara.

NA WOŁYNIU.

I.
POD STOWYGOROŻEM.

Z pod Kołek, gdzieśmy stali w rezerwie dywizji, podciągnęli nasz bataljon do linji. Zerwali nas z biwaku późnym wieczorem i po całonocnym marszu zbliżyliśmy się do miejsca, wskazanego rozkazem.

Ledwie rozbiliśmy namioty, na poblizkiej pozycji zabełkotała palba karabinowa, z każdą chwilą coraz gorętsza, potem wrzawa i okrzyki hurra!

— Alarm!

Nie zdążyliśmy zwinąć namiotów i zapiąć rynsztunku, gdy wpadł łącznik i melduje, że Mochy zaatakowali pozycję 1 pułku ułanów austryjackich i że „Sprzymierzeńcy" wieją.

Błyskawicznie rzucił rozkazy dowódca bataljonu ś. p. kpt. Sław-Zwierzyński (padł w boju pod Kostiuchnówką 4 lipca 1916). Natychmiast ruszył ś.p. porucznik Kostek Aleksandrowicz ze szpicrutą w garści na czele swojej kompanji ze śpiewem:

Hej! strzelcy wraz!
Nad nami orzeł biały...

Słysząc to rozespana kompanja druga ś.p. porucznika Hajca rzuciła się w bój, przyśpiewując sobie polkę „Husia - siusia".

Jak wicher przelecieliśmy okopy, zmietliśmy po drodze tyraljerkę moskiewską i odbiliśmy z powrotem baterję armat i sześć karabinów maszynowych, pozostawionych na pozycji przez Austryjaków. Przyczem wpadło nam w ręce wielu jeńców, a wśród innych jeden porucznik — wszyscy z żelaznej brygady syberyjskiej, „której się dotąd wszystkie ataki udawały" — jak później zeznawali. Porucznik ten klął, na czem świat stoi, że się dostał w ręce „takich bąków".

Po odczyszczeniu przedpola i wystawieniu placówek wróciły kompanje na biwak. Wiara porozłaziła się, niektórzy układali się do snu. Ku naszemu ognisku podeszło kilku oficerów z 1 pułku ułanów — lalusie, uperfumowani, gdzieniektórzy z monoklem w oku, w granatowej bluzie. Zaczęli chórem roztkliwiać się nad naszą brawurą w ogniu i beztroską do ataku. Wtem jakiś adjutant zaczął się żalić.

— Założyliśmy sobie kasynko w okopach. Było tam kilkanaście flaszek dobrego wina, koniaku, sardynek, czekolady... Nie żal nam tego, broń Boże, ale jak się to stało, że przeszliście w kontrataku przez okopy, nie zatrzymując się, a wszystko to znikło jak kamfora?

II.
W OKOPACH.

Pod koniec 1915 r. staliśmy pod Koszyszczami na Wołyniu gdzie to 5 pułk nasz i 4-ty były pod komendą Dziadka. Zima była obrzydliwa: deszcze, silne przymrozki. Wiara chodziła bez spodni, bez płaszczy, (poszły na owijaki); bez koców. Pobudowaliśmy ziemianki, ale i w ziemiankach było zimno. Wyfasowaliśmy wreszcie piecyki i zaczęliśmy je stawiać. Palić jednak nie mogliśmy, gdyż zabrakło rur.

Chłopcy zastanawiali się dłuższą chwilę nad tem, skąd wziąć rury, gdy wtem starszy legionista Blejarski (lwowiak, w boju pod Kostiuchnówką w lipcu 1916 r. otrzymał kikanaście ran, dostał się do niewoli i stracił nogę), z miną jak sto djabłów wykrzykuje, że dziś jeszcze przyniesie potrzebną rurę. Poczem woła swego „sitwesa", tłumaczy mu na ucho i wkrótce obaj się wynoszą z ziemianki.

Przeszli nasz odcinek i wnet dostali się do okopów austryjackich. Skradają się i pilnie badają, która rura najdłuższa. Patrzą, a tu z jednej ziemianki rura wyłazi morowa, a z niej bucha ogień. Niedługo się namyślając, ściągają płaszcze, okręcają rozgrzaną rurę, wyrywają i w nogi. Goniły ich tylko okrzyki oburzenia i wściekłości Austryjaków w ziemiance „Verpfluchte! Sakrament! Sakrament!"...

Piec był i rura była. Paliliśmy i ciepło było. Pozostawał jeszcze jeden kłopot: nie mieliśmy okna z szybami i dlatego otwór w ziemiance musieliśmy zabić darnią. Zebrana cała sekcja uchwaliła raz wstawić okno w ziemiance, aby jasno było i miło. Skąd jednak wziąć taki mebel? — Swoim brać nie wolno i nie wypada; z poprzednich wędrówek po okopach austryjackich wiadomo, że mają okna, ale bardzo silnie przybite. Trzeba więc dalej powędrować „na zakupy".

Poszedł znów starszy legjonista Blejarski ze swym sitwesem aż do pobliskich Kołek. Spatrolowali całą wieś i okazało się, że w domach, gdzie były całe okna z szybami, nazbyt wielu siedziało „trepów", gdzie zaś nie było „trepów", tam brakło okien. Wracają już zniechęceni, gdy patrzą, a tu duża kwatera jakiegoś wyższego dowództwa. Okno jak w pałacu, a za nim w pokoju nad mapami i książkami nachylony pracuje austryjacki sztabowiec i robi notatki. Przystanęli niedaleko okna, spojrzeli znacząco na siebie i myślą; znudzi mu się chyba nad temi mapami.

I tak się stało. Wyszedł wkrótce z pokoju. Chłopcy okno ściągnęli migiem, bez hałasu i ostrożnie zanieśli w poblizkie krzaki.

Blejarski jednak nie dał za wygraną. Chciał zobaczyć jeszcze, „co trep na to powie“, zostawił więc kolegę przy zdobytem oknie, a sam wraca pod kwaterę. Niedługo czekał. — „Kalt, offen Fenster, verfluchte, donnerwetter“ i t. p. przyjemne, a ulgę przynoszące przekleństwa zasłyszał i wtedy wyszedł.

O zmroku ku radości całej sekcji wrócili do ziemianki z oknem.

* * *

Przy wznoszeniu „ogniska rodzinnego“ zabrakło w niektórych ziemiankach cegieł. Ponieważ sufity były wysokie, a rury krótkie, trzeba było piecyki ustawić na podstawie z cegieł.

Skąd jednak sprowadzić do okopów cegłę? Były jedynie przy komendzie pułku, gdzie major Berbecki stawiał jakiś większy piec. Zaczęli po kilka ściągać i wynosić do ziemianek. Zwożono cegły do komendy pułku aż z Kołek, lecz pieca jakoś skończyć nie było można.

By ukrócić tę niecną kradzież, wystawił mjr. Berbecki pisarczyka na warcie przy cegłach. Lecz wiara i na tego znalazła sposób niezawodny, to papierosami, to ziemniakami, to samą pogawędką w noc zimną deszczową usypiali czujność wartownika, i cegły w dalszym ciągu znikały.

Wściekły z gniewu króregoś dnia Berbecki, gdy ani pieca w komendzie, ani cegieł przed kwaterą nie zobaczył, poszedł na rewizję po plutonach, by znaleźć cegłę i surowo ukarać winnych. Zachodzi do plutonu obywatela Mazura, gdzie chłopcy, by nie zauważył cegieł pod piecykiem, pokazują misterną sztukę; śliczną studnię z żórawiem, na którym zawieszony chybotał zdobyczny na Mochach kociołek. Ogromnie się majorowi to dzieło podobało. Dalejże chwalić obywatela Mazura i jego chłopców. Na to wiara w lament:

— W pocie czoła pracujemy nad naprawą okopów i ziemianek, marzniemy na placówkach, a za to głód skręca nam kiszki!

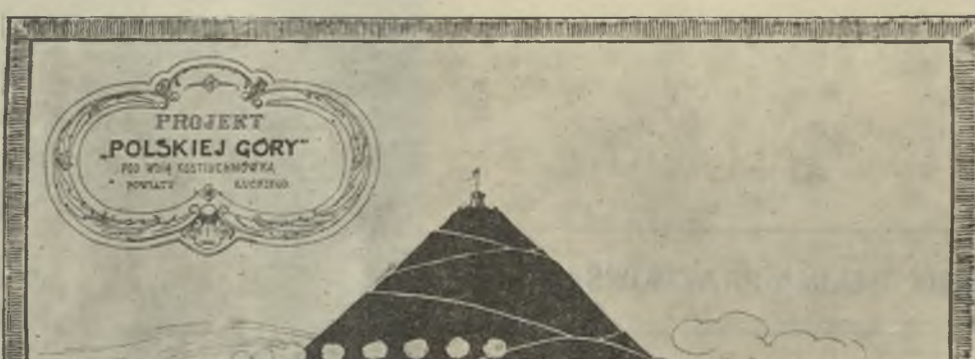
— Dostaniecie chleba z komendy pułku — z temi słowy wszedł major Berbecki. Po chwili pluton otrzymał pięć bochenków chleba z komendy.



PUŁKOWNIK WIENIAWA-DŁUGOSZEWSKI.



PUŁKOWNIK BELINA-PRAŻMOWSKI.



Przyszły wygląd Kopca na Polskiej Górze.

K.

NAD STOCHODEM.

(Z NUDÓW).

Zaczęła się bardzo ładna jesień wołyńska 1916 r. Staliśmy pod Rudką Miryńską nad Stochodem, w rezerwie poza 4 i 6 pułkiem legjonowym, mieszkając w skleconych z gałęzi szałasach i namiotach.

Między naszą a rosyjską linją leżała spalona wieś Sitowicze.

— Czy tam są Moskale, czy ich niema? — to pytanie zaciekawiło nas w jedno południe, gdy—jak to w rezerwie—zaczęło się nam nudzić,

Na dwie godziny przed zachodem słońca chwytam mego sitwesa, starszego legjonistę Karola Szymańskiego (zginął w lipcu 1920 r. w kontrataku, jako porucznik i dowódca kompanji 33 p. p.) i proponuję:

— Możebyśmy tak do Sitowicz poszli.... Zobaczymy, co tam jest.

— Byczo — rzecze Szymański.

Ja wziąłem starego 10-strzałowego sztajera, kupionego przed rokiem za 10 koron w Dziedzicach, Szymański zabrał sztucer austrjacki. Na wychodnem chcieliśmy się zameldować u dowódcy kompanji ś. p. porucznika Sawy-Sawickiego, ale był właśnie u dowódcy bataljonu.

Przeszliśmy przez odcinek 6 pułku. Gdy szóstacy nas pytali, dokąd idziemy, odpowiadaliśmy poprostu: do Sitowicz. Wydostawszy się za druty, podkradaliśmy się do strumyka, gdzie po desce przeprawiliśmy się na drugi brzeg. Tam już zaczynał się otwarty stok, na którym leżały Sitowicze. Przed wsią ciągnęły się poletka, grzędy i brózdy. Gdy tylko wychyliliśmy się na otwartą przestrzeń i posunęliśmy się ku niedalekim konopiom, z prawej strony, gdzie się okopy nasze ku pozycjom nieprzyjacielskim wyginały — około „brygadjerów" — zaczęli w nas bić szóstacy z karabinów. Dawaliśmy znaki czapką, żeby przestali psuć amunicję. Na to zaklekotał ich karabin maszynowy. Było jakich 400 mtr., strzelali dobrze. Najpierw kule padały przed nami, potem poprawili celownik i zaczęli ciąć tuż za nami. Przylgnęliśmy do bruzdy i dalej nią pełzać ku konopiom. Na skraju gęstwiny wpadliśmy w mały okop, na dwu ludzi — stanowisko z pobliskiej placówki. Stąd ścieżka prowadziła do placówki.

Posuwając się tą ścieżką, zdawaliśmy sobie sprawę, z grubo niewyraźnego położenia, w jakie zabrnęliśmy. Słońce się już zniżało. Wkrótce więc powinna była nadejść nieprzyjacielska placówka. Powrót także niezbyt nam się uśmiechał, czaił się na nas dobrze nastawiony karabin maszynowy szóstaków.

Szliśmy dalej. Przed nami sterczały kominy spalonych Sitowicz i drzewa w ogrodach. Wkrótce wpadliśmy do dużego okopu o twardem w glinie oklepanem dnie. Okopem posunęliśmy się i zajrzeliśmy ostrożnie, z bronią gotową do strzału, do ziemianki.

— Chwała Bogu, nic.......

Uszliśmy jeszcze około 100 kroków, by zbliżyć się i zbadać stanowisko rosyjskie. Przy końcu okopu sterczała ściana z desek—resztka zapewne spalonej chałupy — z otworem dla obserwatora.

Wtem za sobą, odległości jakich 15 metrów, usłyszeliśmy jakieś głosy na wzgórzu.

— Patrol, czy posterunek obserwacyjny?

— Dość, trzeba wracać — zdecydowałem.

Szybkim krokiem zaczęliśmy się wycofywać do konopi, gdzieśmy się ułożyli i — leżymy. Po chwili podnoszę głowę ponad konopie. Nad okopem, na wiśni widzę Moskala. Patrzy w naszym kierunku. Czuję, że mnie widzi. Biorę więc sztucer od Szymańskiego i wolno celuję. Moskal siedzi, jak wróbel i ani drgnie. Odejmuję broń i — po chwili znów składam się i celu ę. Moch zamarł bez ruchu.

Wreszcie znudziła mi się ta zabawa i mówię do Szymańskiego.

— Wkrótce słońce zajdzie i nadejdzie ich placówka. Może być gorąco. Niema co robić. Wracajmy.

Ostrożnie, pełzając na brzuchach, ruszyliśmy przez wysoką trawę do oczeretów nad strumieniem. Teraz trochę .boczyliśmy i szóstacy nas nie spostrzegli. Nagle gruchnęła salwa. To żegnali nas Moskale.

Przeszliśmy przez strumień, a przemykając się krzakami ku naszej linji, spotkaliśmy patrole 6-go pułku Poinformowaliśmy ich o stanowisku placówki. Po przejściu drutów weszliśmy do okopu, gdzie natknęliśmy się na plutonowego Luderę.

— Serwus Ludera!

— Serwus Kuba! Gdzieście byli?

— W Sitowiczach. Może masz kawę. Bardzo nam się pić chce.

Przyniósł niebawem kawę, lecz zdążył zawiadomić o naszej wycieczce dowódcę kompanji. Trzeba było odpowiadać na pytania: gdzie byliście, co widzieliście, i — najgorsze — kto was wysłał.

— Nikt.

Dowódca kompanji odesłał nas do dowódcy pułku, Norwida. Major najpierw surowo, potem zorjentowawszy się, z uśmiechem wypytywał o wszystko. Interesowało go szczególnie stanowisko placówki rosyjskiej. Zauważyłem, że opis nasz mocno go zdziwił, widocznie nie całkiem zgadzał się z meldunkami patroli.

Tymczasem wiadomość o naszej wycieczce telefonicznie doszła do piątego bataljonu. Gdy tylko tam wróciliśmy, dostaliśmy wcieranie od dowódcy bataljonu, kpt. Olszyny-Wilczyńskiego i od dowódcy kompanji, por. Rawy-Sawickiego.

AKT EREKCYJNY
KOPCA na POLSKIEJ GÓRZE
U JEGO PODSTAW
w dniu 15 lipca 1928 roku wmurowany.

W Roku Pańskim tysiąc dziewięćset dwudziestym ósmym, dnia piętnastego lipca, za czasów pełnienia przez

Ignacego Mościckiego

godności Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, przy urzędowaniu Ministra Spraw Wojskowych, Pierwszego Marszałka Polski, Komendanta Legjonów,

Józefa Piłsudskiego,

pod Wojewodą Wołyńskim,

Władysławem Mechem,

My, Komitet Uroczystości Legjonowych na Polskiej Górze pod Kostiuchnówką, w następującym składzie Prezydjum:

Prezes Komitetu, **Antoni Staniewicz,** adwokat, Prezes Wołyńskiego Okręgu Związku Strzeleckiego, —

Wice-Prezes Komitetu, **Stanisław Huskowski,** adwokat, senator, Członek Zarządu Wołyńskiego Okręgu Związku Strzeleckiego,—

Wice-Prezes Komitetu, **Stanisław Kalabiński,** Pułkownik Wojsk Polskich, Dowódca 24 pułku piechoty, —

Sekretarz Komitetu, **Bolesław Sarankiewicz,** publicysta, Członek Zarządu Wołyńskiego Okręgu Związku Strzeleckiego, —

Skarbnik Komitetu, **Józef Pałac,** Komendant Wołyńskiego Okręgu Związku Strzeleckiego, —

Przewodniczący Sekcji Finansowej , **D-r. Feliks Wadowski,** Dyrektor Centralnej Kasy Spółek Rolniczych w Łucku, —

Przewodniczący Sekcji Organizacyjnej, **Edward Gąsior,** Prezes Związku Osadników i Związku Legjonistów w Łucku, —

Przewodniczący Sekcji Kwaterunkowej. **Jan Krasicki,** Zastępca Starosty Łuckiego,—

Przewodniczący Sekcji Technicznej, **Franciszek Księżopolski,** Dyrektor Robót Publicznych w Łucku, —

Przy łaskawej obecności Generała Dywizji, **Edwarda Rydza-Śmigłego**, Delegata Pierwszego Marszałka Polski, **JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO**, jako Protektora Uroczystości.

Księdza Biskupa **Władysława Bandurskiego**, ukochanego Kapłana Legjonów i całej Armji Polskiej, —

Licznych Wodzów Wojsk Polskich, w bojach wsławionych, —

Przedstawicieli Duchowieństwa, Rządu, Województwa i Władz Samorządowych, —

Delegatów Organizacyj Społecznych i Wojskowych, —

Uczestników bojów na Polskiej Górze, —

Zastępów żołnierskich i strzeleckich, którym spadkobranie idei legjonowej przypadło w udziele, —

i tłumnej rzeszy Obywateli Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, na to święto wspomnień legjonowych zgromadzonej, —

ku uczczeniu bohaterów bojów

na tem miejscu

za przewodem **JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO** w latach 1915 i 1916 stoczonych w obronie niepodległości, —

w uznaniu wielkiej ofiary krwi i męstwa żołnierskiego, złożonej na Polskiej Górze przez wszystkie trzy Legjonowe Brygady, —

kładziemy tą wieczną pamiątkę przez wmurowanie tablicy i usypanie historycznego kopca —

potomności ku pamięci.

Polska Góra pod Kostiuchnówką.
Ziemia Wołyńska.
Starostwo Łuckie.

E R R A T A.

Str. 7. W ostatnim wierszu u dołu winno być *„nie moralnie"* zamiast *„ale moralnie"*.

Str. 12. W dwunastym wierszu od góry winno być *„syci"* zamiast *„suci"*.

Str. 13. W dwunastym wierszu od góry winno być *„radujcie się"* zamiast *„ratujcie się"*.